

Książki dla wszystkich.

№ 224

Cena 15 kop.



Herman Heijermans

WNETRZA

(SŁUŻĄCA — MAŁŻEŃSTWO)

NOWELE

tłómaczył

Adolf Strzelecki

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

w Galicji 40 hal.

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

Herman Heijermans

Stanisław Zakrzewski

A 87

WNĘTRZA

(SŁUŻĄCA — MAŁŻEŃSTWO)

NOWELE

tłumaczył

Adolf Strzelecki



WARSZAWA

NAKŁADEM i DRUKIEM M. ARCTA

—
1905

Zbiory specjalne



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



F UW0439368

P

PK-22/77/78027

SŁUŻĄCA.

Miał dużo zajęcia, musiał dużo mówić i pisać, to też zapomniał o przyczynie sceny i o swem rozdrażnieniu,—nie miał czasu o tem myśleć.

Ale teraz, wracając do domu czuł, że wzmaga się w nim to niemiłe uczucie, to rozdrażnienie, podniecenie, ten anormalny stan, który w ostatnich miesiącach ich pożycia małżeńskiego stał się chronicznym.

Zaniepokojony, zaczął rozmyślać i rozważać.

Które z nich miało słuszość, a które jej nie miało? On, czy ona? Ona nie miała słuszości. Starając się opłacać roztargnienie, próbował osądzić fakt cały rzeczowo, ściśle, obiektywnie,

sprawdzić jedno po drugim i wniosko-
wać logicznie.

Jak się ta cała historia właściwie za-
częła? Tylko spokojnie i szczerze. On po-
owiedział: «Jaki to piękny zając; tłusta
sztuka!» — Ona odpowiedziała: «Nie każ-
temu człowiekowi tak długo czekać;
zapłać mu i kwita». — Tak; ona tak od-
powiedziała, ale to nie ma żadnego
związku z całą kłótnią. Nic nie szkodzi,
lecz przede wszystkim trzeba sobie
przypomnieć wszystko i wszystko usta-
lić. — Potem wyjął pieniądze z portmonet-
ki i powiedział mimochodem, bez żadnego
złego zamiaru...

Czy wistocie tak było? Czy rzeczy-
wiście nie miał wtedy żadnego złego za-
miaru? Rozumie się, że nie miał. To
absolutnie pewne. Jakież zły zamiar mógł-
by zresztą mieć? Żadnego. Absolutnie ża-
dnego. Przecież to chyba sam może naj-
lepiej wiedzieć. Absolutnie pewne jest, że
nie miał wtedy żadnego złego zamiaru.
Potem wyjął pieniądze z portmonet-
ki i powiedział: «Tłusta sztuka. Szko-
da, że ten człowiek nie przyniósł

dwóch zajęcy. Suus pasjami lubi zajączą
pieczeń». — Cóż ona na to odpowiedziała?
Oto odpowiedziała — tylko trzeba sobie
dobrze przypomnieć każde jej słowo —
odpowiedziała: «Oho, to ty nie chcesz
dać Koosowi zającą?» — Tak; to od-
powiedziała, i to swym kłótliwym tonem. W jej
słowach był akcent najwłaściwszy do
wywołania kłótni. A on powiedział, że
nikt niema prawa twierdzić, że mu żal
tego zającą i że żałuje go Koosowi...
A ona wtedy zaczęła tak złośliwie, tak
niekobieco: «W takim razie poszlij go
Suusowi; nie chcę go już dla Koosa». To
go oburzyło. Ale co potem powie-
dział? Tego już nie przypomina sobie
dokładnie.

Gdy się jest podrażnionym, rzuca się
pierwsze lepsze słowo, bezmyślnie, nie
pamiętając potem, co się powiedziało.
To nieznośne, że wpadając w gniew,
myśli się jasno i złośliwie, i znajduje się
przyjemność w wypowiedzianiu najniemi-
lszych zdań i frazesów, — bardzo niemi-
łych, szatańskich, wstrętne niemiłych...
Ohydne jest to gorliwe szukanie słów,

które najbardziej mogą dotknąć, obrazić i rozdrażnić. — A dzieje się to mimowolnie — po prostu przychodzi samo — bez wysiłku — a powstrzymać się i zapanować nad sobą nie można.

Ale co on potem powiedział?... Tylko trzeba sobie dobrze przypomnieć... Ale zresztą co to ma do rzeczy. Trzeba najpierw ustalić fakty. Kupił zającą, by go posłać Koosowi. To pewne. Chciał jej tem zrobić przyjemność, bo skądżeby zresztą wpadł na pomysł posłania zająca nudnemu, wiecznie uśmiechniętemu szwagrowi? Chciał jej tem zrobić przyjemność, dla niej wydał pieniądze; wogóle pieniędzy nie żałował jej nigdy. Zresztą wyobrażał sobie, że ona potem rzuci mu się na szyję, wiedząc, że tylko dla niej to uczynił, bo ją kocha i chce jej zrobić przyjemność.

Ale ona wręcz przeciwnie pojęła jego dobre chęci. Oszaleć można, myśląc o tem. A ile hałasu... Przecież kupił zającą tylko dla niej, a że mimochodem wspomniał o Suusie... lichy może wziąć człowieka! A powiedział to przecież całkiem niewinnie, bez żadnej ukrytej myśli.

A ona wpadła w wściekłość, poczęła rzucać prostackie zarzuty i skargi! On nieraz powiedział jej złe słowo, ale nigdy nie był tak złośliwy, jak ona była zawsze. Zresztą mężczyzna nigdy nie jest tak złośliwy i nigdy nie kłóci się tak drobiazgowo, jak kobieta. Kobieta nigdy nie rozróżnia wartości słów i zawsze chce postawić na swoim.

Zarzuciła mu, że jest egoistą. On egoistą? Czy nie poświęcał wszystkiego dla niej? Ileż to prezentów dostała od niego w ostatnich dwóch miesiącach? — I płaszcz letni, i broszkę, i srebrną bransoletę... A ileż razy przynosił jej owoce i kwiaty? Dla siebie nigdy nic nie kupił. Z pewnością nic; już oddawna przynajmniej. A ona czem mu się odwzajemniała? — Niczem!

Czy on choć przez chwilę pomyślał o tem, by zającą kupić dla Suusa? Niechże go Bóg broni. Przecież wie, że ona i Suus niecierpią się, jak ogień i woda. Kupił zającą dla Koosa, aby jej zrobić przyjemność. Że też ona mogła wywołać kłótnię z powodu marnego zająca...

On miał słuszność, a nie ona.

Stanął, tupnął nogą i zacisnął pięści. Znowu się podniecił tą historją. A jak to mężczy przypominać sobie tak bez związku tę marną, małą kłótnię. Wściec się można, że te drobne waśni tak go podniecają, że się sam z sobą kłóci i powtarza każde słowo. Nie dlatego, żeby miał mieć nieczyste sumienie. Jak gdyby on był winien czemukolwiek! To tylko stąd pochodzi, że po każdej awanturze przypomina sam sobie, co jej powiedział, co było przyczyną kłótni.

Kocha ją. To rzecz pewna. I ona go kocha. Ale czy to nie może do wściekłości doprowadzić, że ledwie minie chwila pieśczoży, dającej najwyższe szczęście, nagle stają oboje naprzeciw siebie jak dwaj wrogowie, nienawidzący się wzajemnie, złośliwi, rozwścieczeni? Na kwadrans przed kupnem owego zajęcia pieścili się z sobą, jak dwa gołąbki, a w kwadrans po zjawieniu się zajęcia wybuchła kłótnia gwałtowna i do tego doszło, że on rzucił talerz na ziemię i wyleciał z domu jak szalony, prawie ze łzami w oczach, przeklinając ją.

Kto temu winien? Czyż małżeństwo

nie jest kłamstwem, wielkiem kłamstwem, skoro możliwe jest, że najpierw widzi się w swej żonie wszystko najlepsze i najpiękniejsze, a w kwadrans potem patrzy się na nią, jak na wściekle zwierzę, opanowując z trudem gwałtowne i groźne ruchy rąk, rzucając jej potop złych, ohydnych, pełnych przekleństwa słów? To bolesne. Ale i z jej strony jest to szkaradne, że go tak drażni i irytuje z powodu lada drobnostki, — gdy się spóźni o kwadrans, — gdy nie chce jeść ryby, kiedy jej się ryby zachciało, — gdy nie da jej przeczytać listu z tajemnicą urzędową, — gdy pożartuje z jej przyjaciółką, — gdy kupi bez jej wiedzy nową krawatkę. Dzień w dzień coś nowego, a czasem kłótnia trwa dwa i trzy dni.

Rozumie się, że i on czasem jest winien. Dziwne, jak on się łatwo irytuje; potrafi wybuchnąć gwałtownie z powodu jednego słowa, ruchu, spojrzenia jej pięknych oczu. A nieraz musi długo myśleć, nim odnajdzie przyczynę swego wybuchu. Ona jest strasznie nerwowa. Lada drobiazg pozbawia ją dobrego humoru. A jego to irytuje, gdy ona jest

w złym humorze; wtedy nie jest on w stanie wziąć się do żadnej pracy...

W każdym razie jedno jest pewne: ona jest nadmiernie, przesadnie nerwowa, — a on jest strasznie gwałtowny. To jest wyjaśnieniem, ale nie usprawiedliwieniem. A przytem ona tak pragnie dziecka i sądzi, że dziecko dałoby im spokój... A tu trzy lata mijają i nic nie przychodzi!

Zamknięty w sobie, smutny prawie, siedł dalej, rozmyślał i rozważał. Wolałby zająć gdzieś do restauracji na obiad, niż wejść do domu, w ten mroźny nastrój, w tę dziwną obcość, która zawsze panowała między nimi po każdej kłótni. Rozumie się, że ona znów nie przemówi ani słowa, nie wyjdzie ze swego pokoju i siedzieć będzie z zapłakanymi oczami. Ładna była awantura... Talerz z tuzina poszedł w kawałki. Ale czy ona go do tego nie doprowadziła? Czy to nie ona zaczęła awantury z powodu zajęcia? Zając zawsze przynosi nieszczęście.

Wejść teraz do mieszkania, — w tę cizę—obcość—wrogość, w to przygnębiające, straszne milczenie... A służąca? Ta

okropna Joanna! Zresztą czy to Joanna, czy jaka inna, to wszystko jedno. Ale ta specjalnie go irytuje. Może to i ona temu winna, że każde nieporozumienie kończy się taką awanturą? Służące to przekleństwo, szczególnie w małym mieszkaniu. Kuchnia jest tak blisko pokoju, że w niej słycać każde słowo. Najmniejszy szelest, — a jeśli jest cisza zupełna, to w pokoju słycać oddech służącej, która jest w kuchni. To okropnie żenuje. Jego to doprowadza do szaleństwa, gdy Tilly zaczyna za głośno mówić, albo nie mówi ciszej. Czyż służąca musi zawsze wszystko słyszeć? Czy to nie jest szatańsko niedelikatnie i naumyślnie ze strony Tilly? — Rozumie się że naumyślnie, bo tyle razy ją ostrzegal: obca osoba, w dodatku służąca, nie powinna nic wiedzieć o waśniach między mężem i żoną!

To go denerwowało w tem ciasnem mieszkaniu. Nigdy się nie jest sam na sam. Służąca jest zawsze obecna, czy to w pokoju, czy to w kuchni, wszystko słyszy i wszystko widzi; słyszy, że pan

i pani kłóca się z sobą, albo nie mówia do siebie.

Przekłete!.. Ta dziewczyna robi go ko medjantem, obłudnikiem. Czasem patrzy on na żonę pełnemi wściekłego gniewu oczami, a mówi spokojnym, przyciszonym głosem—ze względu na służącą. Czasem mówi swej żonie najbrutalniejsze słowa, obelgi — szeptem. Kiedyśtu, gdy po takiej przyciszonym głosem wiedzionej kłótni, Tilly dostała nerwowego ataku, zawołał dziewczynę, kazał jej przynieść szklankę wody, kłamiąc spokojnie i uprzejmie: «Mojej żonie nagle się zrobiło niedobrze».

Ale czyż dziewczyna nie słyszy wszystkiego? Czyż wszystkiego nie widzi? Czy dziś rano nie słyszała, jak on z przekleństwem na ustach rzucił talerz na podłogę, rozbił go w kawały i wyleciał zatrzaszkując drzwi za sobą? A czy wczoraj nie słyszała płaczu jego żony?

Właściwie był on bydlakiem, nędznikiem, łotrem, skoro stał się przyczyną jej płaczu i uczynił ją nieszczęśliwą. Bo ona jest przecież aniołem; jeśli jest w dobrym humorze, jest anielsko dobra, po

święcająca się, wcale nie samolubna... I jakież życie ona wieździe? Prawdę mówiąc, życie jej nic nie daje. Bezustannie prawie siedzi w domu i pracuje. Mogła zrobić lepszą partję i żyć w lepszych warunkach.

Ale teraz wszystko musi się zmienić. Przysięga, że on nie będzie się już kłócić i zapanuje nad swą gwałtownością. Szkoła stłuczonego talerza... jest zbyt gwałtowny i unosi się z ladajakiej przyczyny... Tak. Tak. Ale czyż ona nie powiedziała, że woli zajaca wyrzucić, niż posłać go Koosowi? A on przecież kupił zajacę dla Koosa. A zresztą, kupując zajacę czynił to bez żadnej ukrytej myśli,—czyż mu już nic nie wolno powiedzieć? Wszystko dobrze i pięknie, byle tylko nie płakała. Dobra, kochana kobieta...

* * *

W trochę niemiłym nastroju wszedł na schody, postawił laskę w kącie przedpokoju i zdjął kalosze, rozważając raz jeszcze, czy ma być w złym humorze, aby jej okazać, że jest mężem, panem domu

i nie myśli ustępować pierwszy. A może lepiej podejść ku niej i ucałować ją na przywitanie? Lepiej puścić wszystko w zapomnienie—dla świętego spokoju...

Słyszał, że rozmawia w kuchni z służącą. Obiad się gotuje. Znowu będzie niemiły obiad!

Wchodząc do pokoju, odczuł raz jeszcze wszystko co zaszło i utwierdził się w przekonaniu, że ma słuszność, a wina jest po jej stronie.

Niezadowolony, przegnębiony usiadł wśród głębokiego, niemiłego milczenia.

Ale w nagłym porywie, w nagłym pożądaniu pogody i spokojnego domowego szczęścia, zawołał, udając wesołość:

— Tilly! Tilly!... Gdzie ty jesteś?

Odpowiedziała z kuchni:

— Tutaj!

Ach, jak to odświeża! Wesoły ton jej głosu dowodził, że się już nie gniewa.

Zerwał się i przez kurytarz pobiegł do kuchni.

Tilly siedziała przy stole. Służąca czyściła widelce.

— Dzień dobry ci, dziecko!

— Dzień dobry!

Oboje patrzyli na siebie z pewnem zmieszaniem, oboje przypomnieli sobie ranną scenę, oboje zapragnęli pojednania i zapomnienia. Ale obecność służącej krępowała ich. Mówili o tem i owem, co im przyszło na myśl, a myśleli o tej scenie... tej scenie...

— Nic dla mnie niema?

— Nic.

— Żadnego listu?

— Żadnego.

Uśmiechnęła się nieznacznie, patrząc mu w oczy.

— Niema żadnej wiadomości od Maasa?

— Nie. Niema żadnej.

— Czyś wychodziła gdzie dzisiaj?

— Ja? Nie. Nigdzie.

— Co to za bluzkę masz dziś na sobie?

— Tę, co zawsze.

— Zawsze nosisz tę bluzkę?

— Naturalnie. Nie poznajesz jej?

— Nie. Ja tej bluzki nie znam.

— Coraz piękniej. Noszę tę bluzkę już od trzech lat, od czasu kiedyśmy się porabiali. Prawda Joanno?

- Tak, pani zawsze nosi tę bluzkę.
- No, ale ja nigdy jej nie widziałem.
- Zapomniałeś...
- Może być.

Rozmowa wlokła się leniwie. W nim budziła się miła świadomość, że ona z nim rozmawia, że wszystko już jest dobrze, że się nie gniewa na niego. Chętnie byłby ją uściskał. Aleta dziewczyna, służąca...

Szukał przyczyny, dla której mogłby pozostać w kuchni.

- ...Spotkałem Adolfa...
- Tak?
- Tak; kazał ci się kłaniać.
- Nic ci nie powiedział nowego?
- Marja niezdrowa.
- Co jej jest?
- Nie miałem czasu go o to zapytać, bo się bardzo śpieszył.
- A kiedy przyjdzie do nas?
- Może w niedzielę. Daleko od nas mieszka.
- Tak. To daleko.
- Co dziś na obiad?
- Coś bardzo dobrego. Robię ci niespodziankę.

- Jestem porządnie głodny.
- Joanno, czy to nowina, że pan zawsze głodny?

Joanna roześmiała się.

— Pan zawsze chyba głodny przychodzi.

— Joanno, czy pan przypadkiem nie chudnie?

Joanna roześmiała się znów:

— O co to, to nie!

I tak gwarzyli wesoło wszyscy troje w tej kuchence czystej i jasnej. W mężu i żonie budziło się zadowolenie z ciszy, ze spokoju.

Zapytał ją:

— Idziesz do pokoju?

— Zaraz przyjdę... Napij się tymczasem wódki.

Nucąc, wszedł do pokoju; wyjął flaszkę z kredensu, napił się wódki. Całe mieszkanko wydaje mu się jasnym i pięknym, gdy ona jest w dobrym humorze i nie gniewa się; wtedy wszystko wokoło w tych pokoikach staje mu się bliżkiem i drogiem, przypomina mu jej miłość i troskliwość.

Weszła do pokoju; wzięli się w obje-

Wnętrza.



cia i ucałowali się ostrożnie, cicho, aby służąca w kuchni nie usłyszała szmeru pocałunków. I cichym szeptem zaczęli mówić z sobą:

- ...Wszystko zapomniane, Tilly?
- ...Wszystko...
- Kochasz mnie jeszcze?
- Bardzo.
- Wszystko już dobrze?
- Wszystko!
- I nic nie pamiętasz?
- Nic.
- I kochasz mnie zawsze?
- Zawsze i bardzo.
- Ale teraz z pewnością mniej, niż przedtem?
- Nie. Bardzo, bardzo...
- Tylko mnie?
- Tylko ciebie!
- Nikogo więcej?
- Nikogo.
- Jestem zły dla ciebie...
- Nie. Tyś dobry, jak anioł.
- Nic mi nie możesz zarzucić?
- Nie. Nie... To ja jestem niedobra dla ciebie...

— Nie, mój skarbie... Ja jestem nie-dobry...

— Ja zawsze jestem taka gwałtowna...

— Kochasz mnie naprawdę?

— Bardzo, bardzo, bardzo...

Jak dwoje dzieci stali przytuleni do siebie, trzymając się w objęciach, powtarzając sobie raz jeszcze to, co nieraz sobie powtarzali. A to mu się wydało czemś nowem zupełnie, całował jej usta, oczy, brode...

— A teraz napij się wódki.

Naląła mu kieliszek, skosztowała, krzywiąc się, że jemu mogło to szkaradzieństwo smakować. On wypił, usiadł, posadził ją na swych kolanach i znów całowali się długo, patrzyli się sobie w oczy w zupełnem pojednaniu i zupełnem szczęściu.

Wyrwała się z jego objęć i wstała:

— Dosyć tych czułości. I wódki więcej pić nie wolno.

Wyszła do kuchni.

A on leżał na sofie leniwie wyciągnięty, przysłuchiwał się dźwiękom kobiecych głosów, dochodzących go z kuchni. Dziwnie—jak inaczej odczuwał teraz wszy-

stko: czuł się bez troski, młodszym, zważszym, świeższym, niż był przedtem na ulicy, gdy rozmyślał nad tą całą historją. Gdy ona była miła i dobra dla niego, on był spokojny i zadowolony. Gdy w domu było milczenie i zobojetnienie—wówczas był zgnębiony, ziryutowany i pozbawiony ochoty do życia.

Kochał ją bardzo. To też tem większą zagadką była dla niego ta nienawiść, ta dzika nienawiść, którą czuł dla niej, skoro wpadł w gniew gwałtowny, i to, że oboje silili się wtedy, aby się wzajemnie ranić złośliwemi słowami. To było szalone, szalone i brzydkie. Czyżby nienawiść i miłość były tak blizkie siebie? Szaleni byli często, jak dwoje głupich dzieci...

Obudziła go z tych rozmyślań. Wyszła i usiadła przy nim.

— Jeszcze pięć minut, kochanie. Ziemiaki gotują się jeszcze.

— Dobrze, najdroższa.

Trzymała go za rękę, gładziła tę rękę, pełną skruchy za uczynioną mu scenę. On był przecież dobry i kochany, on, jej mąż.

Patrzył na nią, przytulił jej głowę do

swych piersi i całował jej złote, kędzierzawe włosy.

Nic nie mówił i poddał się zupełnie spokojnej, błogiej ciszy, tej ciszy pogodnego życia dwóch dusz kochających się wzajemnie.

Ta cisza— to najpiękniejsze chwile ich miłości — ta zupełna równowaga, bez szkaradnych przerw, bez utajonych myśli! Teraz oboje myśleli tylko o sobie, zapominając o wszystkim innem. Miłość jest czemś pięknem, czemś niezmiernie subtelnem, czemś, co się najgłębiej odczuwa wśród takiej ciszy. On ją kocha. Ona go kocha. Niezmiennie.

Oboje to czuli. Oboje oddali się zupełnie tej chwili szczęścia, patrząc sobie w oczy głęboko, nie czując namiętnego pragnienia pocałunków i pieśczoł.

* * *

Ale służąca zapukała do drzwi. Ziemiaki się ugotowały.

Tilly wyszła do kuchni, on w najprzymniejszym nastroju przysunął krzesła do stołu. Wszystko było w ciszy i spo-

koju i wszystko zapowiadało spokojny wieczór przy pracy.

Potem Joanna i ona wnosząc poczęły potrawy, stawiając je na okrągłym stole między błyszczącymi nożami, widelcami, talerzami, szklankami, na białym obrusie.

Usiadła przy nim. Siedzieli tak zaw sze, począwszy od pierwszego dnia wspólnego pożycia. Podniecony patrzył na stół i na te wszystkie znane mu oddawna przedmioty.

Przypomniał sobie jej dyspozycje, wydane rano Joannie:

— Mam właśnie ogromny apetyt na kotlety.

Ona roześmiała się:

— Ach, kotlety wprawdzie już gotowe, ale ich nie dostaniesz.— Dla ciebie jest co innego, jest inny specjalny przysmaczek.

Zdziwiony zapytał.

— I cóż to za przysmak?

Podawała mu półmisek i patrzyła w jego skamieniałą twarz.

On ostro zapytał:

— Co?... Zająca?...

I szybko jak błyskawice, jak wyska-

kujące w ciemności iskierki budzić się w nim poczęły rozmaite myśli: — a więc przecież nie dopuściła do tego, by zająca posłać Koosowi,—więc przecież postawiła na swoim,— a on przecież zająca kupił dla Koosa. — To jest nikczemne, upiec dla siebie to, co on przeznaczył dla kogoś.—I coraz więcej, więcej myśli się w nim budziło, wznosił się w nim wściekły gniew i wybuchał olbrzymim płomieniem. Była to dziwna chwila szybkiego, jasnego myślenia.

A ona rzekła potakując głową:

— Tak, to zająca.

Starając się zapanować nad sobą, mówił zwolna:

— Czy ty chcesz koniecznie mnie rozgniewać?

— Ależ najdroższy, któż cię gniewa?

— Ty, ty, ty!

— Ja?—I czemu?

— Ależ na Boga! — Na Boga!... Czy nie dałem ci listu, z którym miałas wysłać zająca do Koosa?

— Tak, rzeczywiście... Ale potem wołałam zająca zatrzymać dla siebie, — dla nas.

— To nieprawda! To nieprawda! Kłamiesz!— zawołał wybuchając brutalnie i rzucając nóż na stół.

A gdy tak mówił, myśli z błyskawiczną szybkością przebiegały przez jego głowę: przypomniało mu się wszystko i wytworzyła się łączność między ranną sceną a zającem, podanym na stół. Chciała postawić na swoim, koniecznie, bezwarunkowo na swoim! Drażniła go umeślnie i umeślnie wywoływała awanturę.

Ona spytała obrażona:

— Kto kłamie?

— Ty, ty, ty! Z chwila, w której napisałem list do Koosa, zając przestał być naszą własnością, a stał się własnością Koosa. Tak, to zając Koosa, jego zając, a tyś mi umeślnie to zrobiła i wystrychnęłaś mnie na dudka.

— To nieprawda! Chciałam tylko zrobić ci niespodziankę!

On z straszną wściekłością szeptał:

— Kłamiesz! Zrobiłaś to tylko dlatego, żeby Koos nie dostał zająca.

— I cóżby Koosowi przyszło z takiego zająca? Cóżby mu z tego przyszło?

A my nigdy zająca nie mamy. Chciałam także raz zjeść pieczeń zającą.

— To nieprawda!

— Ależ daję ci słowo...

— Nie wierzę twemu słowu!

— Ależ mój kochany!...

— Nie wierzę ci, nie! Ani słowa ci nie wierzę! Tyś sobie pomyślała: otóż pokażę mu, że postawię na swoim i że Koos nie dostanie zająca, i Suus także nie! Zając będzie mój!— Toś pomyślała!

— Nie! Tego nie myślałam!

— Myślałaś!

Blady i milczący oparł się o poręcz krzesła. Tego rzeczywiście było trochę za wiele. Rano awantura o zająca. Wściekły wyleciał z domu. Przychodzi na obiad, chce zgody, spokoju, pieści ją, całuje, a ona... ona znów wraca do tej samej historii i złości go znów tym zającem. Kiedy już raz napisał list do Koosa, jej obowiązkiem było odesłać list i zająca. Ten przekłety, przekłety jej upór!

Ona trochę przestraszona, że postawiła na swoim, nerwowo poruszała nogą założoną na nogę. Czy to, co zrobiła było taką wielką zbrodnią?... Nie miała

ochoty posłać zająca Koosowi, bo ten zając stał się przyczyną rannego sporu. A potem pomyślała sobie — i to szczerze. mogła przysiąc, że szczerze — jakby dobrze było dać zająca na obiad, żeby i on, jej mąż, zjadł dobrą pieczeń. On lubi przysmaki. Chciała mu zrobić niespodziankę. I przez cały ranek siedziała w kuchni, przygotowując tę doskonałą pieczeń.

Przymilając się, rzekła:

— Ale dajże pokój, mój kochany! Nie gniewaj się! To głupstwo. Nie rób takiej złej miny... Bierz i jedz, bo wystygnie...

— Nie. Dziękuję za twego zająca!...

— Ależ daj spokój!... Tak się namęczyłam sama koło niego... Weź — weź i jedz. Będzie ci smakować. A mnie tak przyjemnie, gdy ci co smakuje.

Milcząc, siedział rozparty w krześle. I jakże tu panować nad sobą i nie dopuszczać do scen! Ale on nie podda się jej fantazjom i kaprysom! O, co to, to nie! Chyba żaden człowiek z rozumem ani na krok by nie ustąpił!

Wreszcie rzekł spokojnie:

— Nie będę jeść zająca. Kupiłem go

dla Koosa, a pieniędzy przez okno nie wyrzucam... Każ mi podać kotlety, a zająca pošlij Koosowi.

Nerwowo sprzeciwiła się:

— O, nie; — tego nie zrobię. Cóżby on sobie o tem pomyślał?... Kotlety mogą schować na jutro, albo i pojutrze. Pieczonego zająca nikt nie posyła. Nie. Pieczonego zająca nie mogę posłać.

— To zrób z nim, co chcesz.

— Ależ weź choć kawałeczek... Albo ja ci wybiorę i położę.

— Niel... Czy mnie nie rozumiesz? — Nie będę jeść tego zająca!

— Ach, jakiś ty niedobry! A ja dla ciebie męczyłam się cały ranek w kuchni!...

Nastąpiło długie milczenie.

On siedział ponury i bawił się swym widelcem. Ona błada, zdenerwowana, oparła głowę o rękę.

Słychać było szmer zegarka, a z kuchni dochodził szum samowara.

U obojga budziło się coraz większe rozdrażnienie; on czekał, by ona uznała

swą winę; ona czekała, żeby on zaczął jeść zająca.

Ale on milczał i nie ruszał się; a to milczenie — ta służąca, ta nieznośna dziewczyna w kuchni — rozdrażniało ich oboje. Nie było nic szkaradniejszego nad tę ciszę — to milczące wyczekiwanie półmisków — ten biały blask talerzy, te szklanki odbijające w sobie światło — te milczące flaszeczki z octem i oliwą — ta ukośnie stojąca sosjerka — ta flaszka z wodą — to przejmujące lekkiem wyczekiwaniem przedmiotów, znajdujących się na stole.

Wreszcie ona zaczęła, prawie ze łzami w oczach, prosząc go. Odtąd mówili coraz szybciej:

— Jedźże mój kochany!... Wszystko wystygnie!...

— To mi wszystko jedno.

— Ty kłótniku!

— Nie, — to ty zaczynasz zawsze kłótnie.

— I po to siedziałam cały dzień w kuchni?

— Trzeba było zająca posłać Koosowi!

— Ale jedźże. Wszystko wystygnie...

— Nie. Nie będę jeść...

— Weźże choć kawałek zająca!...

— To nie mój zając.

— Wszystko wystygnie!...

— Za żadne skarby świata nie tknę niczego. Zresztą masz, czegoś chciała!

I znów zaległo przygnębiające milczenie. Oboje siedzieli poważnie, prawie ponuro zadumani, w coraz bardziej wznrastającym zobojetnieniu, które poprzedzało każdą scenę. Zupełnie stracił apetyt pod działaniem zwiększającego się, lecz sztucznie opanowywanego gniewu i coraz bardziej wznrastającego zdenerwowania.

A nieustannie myśleć musiał o służącej. I co ta sobie myślała, zauważywszy ciszę w pokoju i to, że nikt jej nie wołał, żeby zabierała półmiski. To było śmieszne, śmieszne. Przecież służącej trzeba dać jeść; już z dziesięć minut czeka na to. Tak być nie może, nie może, nie może. A teraz Tilly zaczyna płakać, i to głośno. Tego jeszcze brakowało!

Rozwścieczony zerwał się i zaczął chodzić po pokoju. Irytował się coraz bardziej i rozmyślał, co zrobić. Ona jest

kobietą, z którą żyć nie można, która go unieszczęśliwia. Cała wina jest po jej stronie; on ma słuszość.

Łkała coraz to gwałtowniej, zdenerwowana jego bieganiem po pokoju, jego milczeniem. Gdyby choć słowo powiedział. Ale on nic nie mówi, tylko lata po pokoju, tam i napowrót, a to ją strasznie męczy. A to jadło, które stygnie na stole, te zimne kartofle, ten groszek, nad którym stawiła cały ranek.

Jaki on kłótniwy, jaki Judasz z niego! Nie dba o to, że ona się zapracowuje dla niego. Pięć godzin, od pierwszej do szóstej, przesiadła w kuchni, przy pracy, gotując ten rzeczywiście doskonały obiad. Tak on się z nią zawsze obchodził—jak z kucharką, jak z służącą,—jakby jej płacił za to... Ach, co to za człowiek! Co to za mąż! Gdyby go nigdy nie była spotkała, gdyby nigdy nie była wyszła za tego nędznika! Taki doskonały sos,—a ten zajac, tak wybornie upieczony!... Kłótnik!... Wszystko wystygnie i cały jej trud pójdzie na marne.

I coraz bardziej zdenerwowana załkała głośno, skarżąc się z wyrzutem:

— Ooo,—ooo.—Gdyby mój brat wiedział, jaka ja jestem nieszczęśliwa z tobą! Oooh!...

On głośno zawołał:

— *Tais-toi devant la servante!*

A ona w zdenerwowaniu wielkiem, rozwścieczona, załkała:

— To mi wszystko jedno,—wszystko jedno!... Niech wie! Niech słyży!

Ta dziewczyna w kuchni, która słyży wszystko, każde słowo! To go doprowadzało do szaleństwa.—Dla czego ona nie odpowiedziała mu po francusku, kiedy on do niej mówi w tym języku. Poczóż służąca ma wszystko słyżeć i wszystko wiedzieć.

— *Si tu dis encore un seul mot...*

Blady z oburzenia groził jej, a nie mogąc tak łatwo znaleźć odpowiednich słów francuskich, kończył szybko:

— Ani słowa! Ani słowa! Rozumiesz? Rozumiesz mnie?

Łkała ciszej.

On biegał po pokoju, tam i napowrót, wzdłuż stołu, aż do okna i z powrotem, coraz szybciej i szybciej. Co ta dziewczyna sobie pomyśli, tem bardziej, że tak

czy owak stoi ona po stronie Tilly. Wstyd hańba! Ta dziewczyna czeka już od kwadransu na obiad. Rozumie się, że stoi pod drzwiami i podsłuchuje. Boże, Boże, Boże!

Nagle stanął i rzekł szeptem:

— Teraz zawołam Joannę. Słyszysz? Przestań płakać!... Rozumiesz?— Nie ośmięszaj nas obojga! Rozumiesz? Rozumiesz?

Ona zapanowała nad sobą, siłąc się na spokój; tylko od czasu do czasu rzucała okiem na zegar.

On zawołał spokojnie, bez złości, panując nad sobą zupełnie:

— Joanno! Joanno!

Służąca weszła, patrząc na niego ze zdziwieniem. Była to młoda, świeża dziewczyna. Wiedziała, że coś zaszło, ale udawała, że nic nie widzi i nie rozumie.

— Czy pan wołał?

— Tak jest... Joanno!... Zając niedobry, — nieświeży. Proszę go zabrać i przynieść kotlety.

— Dobrze, proszę pana.

Drzwi skrzypnęły, zamykając się za nią.

Tilly zerwała się w szalonym podnieceniu.

— Ach człowiecze! człowiecze! Gdybym ja wiedziała w jaki sposób uwolnić się od ciebie!

— *Tais-toi devant la servante!*

— Ty Judaszu! Klótniku!... Cała moja praca idzie na marne!...

— *Veux tu te taire, oui ou non?*

— Cała moja praca idzie na marne! Ty potworze, ty!

— Powtórz to raz jeszcze!

— Ty potworze, potworze! Cała moja praca marnuje się! Jakbym była twoją kucharką!... Twoją pokojówką! Niczem więcej!

Wściekły przyskoczył do niej. Ale drzwi zaskrzypiały, a on, ochryply, pożółkły z rozdrażnienia rzekł tylko krótko i ostro:

— *Tais-toi devant la servante!*

Służąca postawiła półmisek z kotletami na stole i chciała odejść. Czowała sama, że jest zbyt uczona.

— Niech Joanna zaczeka... Proszę wziąć obiad i dla siebie... Czy w kuchni są ziemniaki?

— Są, proszę pana.

— A jarzyna jest?

— Nie. Niema.

Rzucił na talerz kilka kotletów, kilka łyżek jarzyny. A chcąc ukryć przed służącą scenę małżeńską zapytał spokojnie:

— Czy będzie dosyć?

— Dosyć, proszę pana. Dziękuję.

— A gdyby Joanna była głodna, to proszę przyjść i powiedzieć.

Drzwi znów zaskrzypiały. Zaczął znowu chodzić po pokoju tam i napowrót, wzdłuż stołu aż do okna i od okna wzdłuż stołu. Czuł już trochę skruchy, trochę gniewu na siebie, że Tilly siedziała tak łkając i milcząc przy zastawionym stole.

Boże, Boże! Co to za życie! I dlaczego mu odrazu nie podała kotletów? Gdyby kazała podać odrazu kotlety, nie byłoby przyszło do kłótni. On nie chciał zająca; kupił go dla Koosa, a ona tylko dlatego, że sądziła, iż on chce tego zająca dla Suusa, zakończyła spór, zużytkowując go dla siebie. To było logiczne. Zresztą, nie było to zbrodnią, stało się i odstać się nie może. — A może ona

rzeczywiście miała jaknajlepsze zamiary — a dla kobiety to wcale nie jest przyjemnie, gdy potrawy, około których się namęczyła, stygną na stole nietknięte. — Przypomniał sobie, że matka jego nieraz płakała z tego powodu, a on uważał za dzieciństwo ze strony swego ojca, gdy ten robił wiele hałasu z powodu jedzenia. Ale on nie robił sceny z blahego powodu. Tu szło o co innego... Ale zresztą i to da się naprawić. Przecież ona się dosyć namęczyła, żeby przygotować mu smaczny obiad. W końcu pocóż znowu psuć wieczór... nie mógłby potem pracować, albo z nudów uciekłby do kawiarni... A dziś wieczór musi pracować. Bo w przeciwnym razie spotkałyby go przykre wymówki ze strony szefa. Z papierami przecież nie może iść do kawiarni... A ona *au fond* jest dobra, poczciwą kobietą.

Ukląkł przed nią, by móżd jej spojrzeć w oczy i rzekł łagodnie:

— Pójdź Tilly! Pójdź! Zapomnijmy o tem. Niech będzie zgoda między nami.

Ale ona zirytowana, podniecona jego milczeniem, bieganiem po pokoju i całą tą

tragedją ostygniętego obiadu, odsunęła krzesło, odtrącając go od siebie ze złością:

— Daj mi spokój! Ty Judaszu! Klótniku!

Prawie stracił równowagę, tracony przez nią. To znów go rozgniewało, napełniło goryczą i upokorzyło.

— Tak?... A więc nie chcesz? Nie chcesz?... Boże! Kobieto! Gdybym nie panował nad sobą... Gdybym ze względu na służącą nie panował nad sobą!...

Znowu zaczął biegać po pokoju tam i napowrót, deniwując coraz bardziej siebie i ją, — wreszcie, szarpnąwszy gwałtownie krzesłem, usiadł przy oknie.

Ona siedziała przy stole, oświetlona światłem lampy, — on siedział przy oknie. Oboje nie patrzyli na siebie, ale nasluchiwali bacznie każdego szmeru, każdego szelestu, każdego ruchu jednego albo drugiego.

Zmęczony i rozdrażniony patrzył przez okno. Teraz ona była mu wstrętna i nieznośna, odtrącała go od siebie jak psa... Jakże on jej nienawidził, jej, tej kobiety, która zakłóciła równowagę jego życia! Nienawidził jej! I nie było wyjścia

z tego położenia; byli przykuci do siebie na całe życie — on do niej — ona do niego. Koos sam nic nie ma. Nie może jej przyjąć do siebie; ma sześcioro dzieci i chorowitą żonę. — Ta męczarnia — te wieczne klótnie — to nieprzystosowanie się wzajemne — niedobranie się — wieczne zderzenia...; są z pewnością inne kobiety, łagodne, dobre, które nie mieszają do wszystkiego trucizny, nie są tak szkaradnie uparte... I po to pracował od dziewiątej rano do szóstej wieczorem, w kantorze i na mieście... Wreszcie przyszedł do domu zgłodniały, a ona zatrzymała mu te godziny spoczynku...

Czy ona kiedykolwiek o nim pomyślała? Czy trąszczyła się o niego? Dbała o to, że jest zmęczony, pragnie spokoju i ciszy? — Oszukał się. — Złączył się na całe życie z egoistką, wstrętną mu i wrogą. — W mieszkaniu tem jest tak miło i uroczo, — stół nakryty nęci ku sobie... a ona odtrąca go od siebie, jak psa, — pozwała mu siedzieć samotnie, a to już godzina siódma — od pół do pierwszej nie miał nic w ustach, za pół godziny musi znów wziąć się do pracy!... I dla kogóż

oni pracuje? Tylko dla niej; gdyby tylko o niego szło, nie potrzebowałyby tego... To egoistyczne — głupie — głupie stworzenie. — ten odstręczający upór — namyślnie upiekła zająca — zająca, który kosztował dwa i pół guldenu — przysmak za drogi na ich skromny budżet — Koos, to co innego; dostawał zająca w prezencie, ma chorą żonę... A teraz odtrąciła go od siebie, jak głupiego, natrętnego malca... Głodny, znużony, smutny, siedzieć musi jak męczennik!... Tak jest, — jak męczennik! ...Trzeba zjeść kotleta!..

Siedział rozgoryczony i rozmyślał, i męczył się coraz bardziej i rozstrajał.

Ona siedziała przy stole. Po gwałtownym wybuchu uspokoiła się, a teraz sama starała się na nowo podniecić. Czy to było prawdą, czy też nie? — Cały dzień przesiedziała w ciasnej małej kuchence. Wyobrażała sobie jaką przyjemność sprawi mu tą niespodzianką. — To podle, wstrętne, brutalnie z jego strony nie wziąć do ust ani kaska i wszystkiemu dać wystygnać, — wszystko wystygło, — nie do jedzenia — do ust tego wziąć nie można. I to dla czego? Dlatego, że upie-

kła zająca. Jaki to uparty człowiek! Daje się zapracowywać żonie nadaremnie, ten egoista szkaradny. Z każdym dniem staje się gorszy. Rano zbil talerz. Od czasu do czasu warjuje po prostu, — wpada w szalony gniew za najniewinniejsze słowo, najmniejszą drobnostkę. Gdyby Bóg dał jej śmierć, — gdyby mogła umrzeć w tej chwili, — dziś wieczór jeszcze. Bo i cóż to za życie? Życie z człowiekiem, którego nie cierpi.

O służącej on pamięta zawsze, dba o to, by ją w stosownej porze. I jakie olbrzymie porcje jej daje! Dziś na przykład taką masę kotletów! A o niej, żonie swej, czy pomyśli kiedykolwiek? Czy pomyśli o tem, że i ona może być głodna? Od południa nic w ustach nie miała... A teraz siedzi, tam, samotny. Sam siebie karze. Zając i kotlety stoją na stole, — wszystko wystygło...

Ta cisza denerwuje ją... do tego stopnia, że ma ochotę przewrócić stół ze wszystkim, co na nim stoi. Co on tam robi? Pociąga nosem. Boże, gdyby on się rozplakał! Nie. On nie płacze. Ale gdyby on się rozplakał... gdyby... ach, ta cisza,

ta cisza!... Kwadrans na ósmą... a ten idjota nic do ust nie wziął... Czasem jest taki błąd... Gdyby choć słowo wypowiedział... Gdyby choć przemówił...

Drżała ze zdenerwowania i znowu zaczęła płakać. Ten przeklęty płacz na nowo obudził w nim gniew szalony. Jeśli nie przestanie, to on porwie kapelusza i łaskę, i ucieknie z domu.

Ale w tej chwili usłyszał jej błagalny głos:

— Kochany! Chodźże jeść... Chodź! usiądź przy stole!

Nie odpowiedział nic, zły, ponury, przekonany, że ma zupełną słuszność, że ona chce zapanować nad nim, że nie kocha jej wcale i nigdy jej nie kochał.

— Ach, kochany!—Jedz, co chcesz... Mnie już wszystko jedno... Tylko przemów choć słowo!...

Odwrócił się, ale milczał. Panował nad szalejącą w nim burzą gniewu. Postanowił ani słowem się nie odezwać, — ani słowem. Zmęczony, osłabiony głodem chwycił się tego postanowienia i za nic w świecie by od niego nie odstąpił. Głowa zaczęła go boleć okropnie.

— Odezwijsię się do mnie!—Powiedz cokolwiek...

Milczenie jego niepokoiło ją coraz bardziej i rozdrażniało do najwyższego stopnia.

— Czy nie słyszysz?

Nie. Wykręciła teraz całą historję. Złosciła go tak długo, że miał już dosyć. A zresztą nie mógłby przemówić. Dziwna rzecz: nie byłby w stanie ani słowa wymówić. Nerwowe bóle szarpały mu głowę. Odwrócił się do niej plecami.

A ona, chwytając się za czoło rękami, mówiła ochryplym głosem.

— Jeśli mi nie odpowiesz, — nie odpowiesz, — oszaleję!... Człowiecze! Ty doprowadzisz mnie do szaleństwa! Do szaleństwa!

Nic nie odpowiedział.

Był jakby sparaliżowany. Nie mógł się ruszyć, nie mógł przemówić ani słowa, nie mógł myśleć. Było mu zupełnie obojętne, co ona mówi i co robi.

Lecz nagle w nerwowym wybuchu niemej rozpaczycy ona zaczęła tłuc jasnowłosą głową o stół, tak że aż szklan-

ki dzwoniły a widelec spadł na podłogę. Zdawało się, że oszalała z rozdrażnienia.

Głuche uderzenia głowy o stół obudziły go z martwoty i bezwładu. Wściekły zerwał się z krzesła. Skandal! I co o tem pomyśli służąca! Brutalnie chwycił ją za ramię.

— Czyś ty oszalała?... *Veux - tu finir! Veux - tu m'ecouter?*

Zdawało się, że gniew i rozdrażnienie zaślepiły ją. Przyszedł na nią wybuch okropny. Biegała po pokoju, załamując ręce i nie zwracając na niego uwagi krzyczała, skarżąc się boleśnie:

— Boże! Boże! Cóż to za nędznik! — Ja go błagam! — błagam... a on milczy, jak zakłęty!...

— *Veux - tu te taire!...*

— Co to za pożycie!... Co za pożycie! I ja nigdy się nie uwolnię od tego człowieka! — od tego łotra! — łotra! — łotra!...

On groził bezdźwięcznym głosem, niemniej rozwścieczony:

— Jeśli nie zamilknieś!... — Pamiętaj o służącej!... Pamiętaj!...

Nawet w tej chwili przesładowała go myśl o tej dziewczynie, tam w kuchni,

o tej obcej dziewczynie, podsłuchującej każde słowo.

A Tilly skarżyła się dalej, lkając głośno:

— Ooo, gdybym mogła umrzeć!...

Gdybym miała tyle odwagi... odwagi... Jak on się ze mną obchodził!... Nienawidzę cię!... Nienawidzę! — Nienawidzę! — Słyszysz! — Nienawidzę cię i to powtórzę głośno każdemu!...

Ostatnie słowa rzuciła mu w krzyku jeszcze głośniejszym.

I nagle zapanowała cisza, dziwna cisza.

Wściekły, przerażony, podniecony myśla o służącej, widząc żonę swą tuż przed sobą, mając tuż przed sobą jej twarz, pełną nienawiści, uderzył ją silnie dwa razy w miękkie, ciepłe policzek.

Ona zamilkła odrazu i odrazu przestała płakać. Spojrzała na niego zdziwiona, nawet bez wyrzutu i bez złości, jakby nie wierząc, że to, co się stało, stało się rzeczywiście.

W pokoju zapanowała nagle cisza, dziwna cisza.

Wyczerpany padł na krzesło przy

oknie, oddychając głęboko, prawie płacząc i patrząc bezmyślnie przed siebie.

Ona usiadła na sofie, cicha, bez zdziwienia i bez skargi.

Zegar szedł dalej.

Z kuchni słychać było szum samowaru.

Chwilę jeszcze siedział przy oknie. Ciśsza ta przygniatała go niepojętym ciężarem. Musiał wyrwać się, wyjść, wypowiedzieć się, wyrzucić z siebie skargi i łzy, — wyrwać się z tego przekłętogo więzienia, — z tą obcą istotą za drzwiami, służącą — służącą...

Gwałtownie zerwał się z krzesła, otworzył drzwi, chwycił kapelusz i łaskę. Wychodząc, obejrzał się. Siedziała na sofie nieruchomo i nie płakała. Szybko zbiegł ze schodów.

* * *
Słyszała, jak wyszedł, jak zamknął za sobą drzwi i wyszedł.

Dziwna siła odporna dała jej niespodziewaną zdolność zapanowania nad sobą, myślenia o wszystkim chytrze i sprytnie, bez bólu i żalu z powodu tego, co się stało, a co się już odstać nie mogło; nie myślała o tem nawet. Nie my-

ślała już o niczem, o niczem, ani o sobie, ani o nim, ani o swem nieszczęściu, ani o brutalnem poniżeniu.

Cicho otworzyła kredens, wstawiła półmisek z kotletami na najwyższą półkę, gdzie go nikt nie mógł ujrzeć. Zawołała psa, dała mu zjeść nałożone na talerz kotlety męża i jarzyny, dała mu wylizać i swój talerz, i zjeść kawałek pudingu. Patrzyła przed siebie zmęczonemi oczami; prawy policzek był nieco zaczerwieniony.

Zadzwoniła.

Joanna weszła, trochę zmieszana, lecz uśmiechnięta.

— Czy pani dzwoniła?

Ona jeszcze bardziej zmieszana, ale niedając tego poznać po sobie i odwracając twarz od światła, nałożyła pomału na talerzyk pudingu i rzekła pewnym, bezdźwięcznym głosem:

— Zapomniałam o tobie... Pan się tak śpieszył... kotlety były trochę za twarde...

— Za twarde?

— Tak. Pan powiedział, że za twarde... Czy dosyć będzie?

— Dosyć, proszę pani.

— A zająca zjemy jutro... Sprzątnij ze stołu.

— Pan nie miał nawet czasu wypić herbaty?

— Nie. Pan się bardzo śpieszył. Musiał wyjść... Potem możesz pójść na godzinę do matki.

Usiadła spokojnie na sofie. Joanna posprzątała ze stołu i wniosła samowar. Tilly wzięła gazetę, i czytała, nasłuchując szmery w kuchni.

Służąca wniosła umyte naczynie i wstała do kredensu.

— Wszystko już gotowe?

— Wszystko, proszę pani.

— Możesz iść teraz. Ale za godzinę wróć.

* * *

Bogu dzięki. Służąca nic nie zauważyła.

Ogłuszona i wyczerpana, jakby rozbita, usiadła przy oknie w tem samym miejscu, gdzie on siedział przedtem.

Siedziała długo w milczeniu: przypominała sobie teraz wszystko.

Nagle wybuchła płaczem, strasznym płaczem, namiętą skargą bólu i smutku, i zapełniła nią kuchnię, i pokój, i całe mieszkanie.

MAŁŻENSTWO.

I.

— Czy zatrzymać tramwaj, proszę pana?

— Nie. Dziękuję. Nie trzeba.

— A czy pan będzie uważać na skręcie?

— Będę. Będę.

Doskonale. Ach, jak to przyjemnie czuć się znów na siłach. Przed pięciu miesiącami ani mi się śniło o czemś podobnym... Tak wyskoczyć z wozu tramwajowego! — Mój Boże! Gdy wspomni ten wieczór, w którym jechał na dworzec, chory, nędzny, zupełnie zrozpaczony. — Trala... Tralala... Tralala... — Teraz trzeba skręcić w boczną ulicę. Oto ich dom. Z okien pierwszego piętra poprzez żaluzje widać było światło. Tam ona

siedzi. Tak. Tam siedzi ona.—Krzyczeć głośno, śpiewać z radości by się chciało!

Lekko przycisnął guzik dzwonka. Wpatrywał się w mosiężną tabliczkę na drzwiach, błyszczącą się matowo w padającym na nią świetle latarni.—Bool.—Be,—o,—o,—el.—Bool.—Doskonale zestrzął się brązowy kolor drzwi, z niebieskawym kolorem progu i matowym błyskiem tabliczki.—Bool;—Be—o—o—el,—Bool.—Czy to nie zaskrzypiały drzwi od sieni? Tak, —zaskrzypiały po staremu. Czy Bets sama otworzy i wyjdzie na jego spotkanie?—Boże! Byłaby to radość ogromna; jasna, niebiańsko jasna radość! Nie. Bets nie wyjdzie naprzeciw. Z pewnością nie spodziewa go się jeszcze.

— Dobry wieczór, Jo! — Dobry wieczór!

— Co?... Dobry wieczór, panu! Dobry wieczór! — Doskonale pan wygląda... A jak pan utył... Jaka broda panu urosła... Boże, Boże, jak pan doskonale wygląda!...

— Czy państwo są na górze?

— Pan i pani są na górze... Ale pan doskonale wygląda!

— A Bets? Panna Bets?

— Panienka? Panienka jest w Haadze.

— Co? Panienka w Haadze?...

— U pani Van Laan.

— Ale jakże to może być?... Jakże to się stało?

Pani Bool, stojąc na górze u poręczy schodów, zawołała:

— Kto tam, Jo?

— Młody pan przyjechał!... Pan Nanta!

— Pan Nanta?... Panie Fryderyku, to pan?—Hermanie, to pan Fryderyk przyjechał!...

Zeszła naprzeciw niego do połowy schodów:

— Więc to pan?... Ale wybornie pan wygląda... Nie do poznania, mój chłopcze,—jakby nie ten sam... Z jaką wspaniałą brodą!... Dobry wieczór, mój chłopcze,—serdecznie pana witam!... A więc jakże... czy przyszedł pan już do siebie?... Chodź pan prędko na górę. Mój mąż siedzi w domu; niestety podagra go męczy... Ale jak pan się opalił!...

Jo zauważyła:

— Pan się zmienił zupełnie, nie do poznania.

— A gdzie Bets, proszę pani?

— Bets?... O, Bets?... Zdejm pan najpierw paltot,... Świetnie pan wygląda!... I utył pan ogromnie... poszczęściło się panu... Wyglądał pan jak szkielet, jak cień... Prawda, Jo?—Czy pan nie wyglądał strasznie źle?

— I jak jeszcze! Skóra i kości!

— Ale mój mąż się dopiero zadziwił!... Pański list dostaliśmy dopiero dziś rano, o ósmej godzinie... Co to za niespodzianka dla nas wszystkich!— Tak.— Hermanie, on doskonale wygląda!

Pan Bool siedział w pokoju, wygodnie otulony szlafrokiem, z nogą owiniętą troskliwie i ułożoną na poduszce.

— Oho! Witam pana! Dobry wieczór, panie Nanta!—Niestety,—nie mogę wstać z fotela... Podagra, podagra... Witam pana... Jakże mnie to cieszy... Czy pan prosto z pociągu?... Ale wie pan, że wistocie pan doskonale wygląda. Zupełnie pan przyszedł do siebie... Zupełnie inny człowiek z pana... Siadaj pan, siadaj pan i opowiadaj nam! Opowiadaj pan!

— Ale dajże mu spokój. Później będzie opowiadał... Najpierw niech wytchnie trochę... Chłopiec zupełnie przyszedł do siebie!...

— Nie spodziewałem się wcale, że pana jeszcze obaczę, panie Nanta.. Nie miałem najmniejszej nadziei... Nadwyzczajnie, nadspodziewanie pan się poprawił. Nie mogę przyjąć do siebie z podziwu... Może cygarko?... doskonale, prawdziwe holenderskie, po tem rozmaitem paskudztwie?... Nie, nie!... A jaka broda wspaniała!... A teraz opowiedz pan nam...

— Czy Bets niema w domu?

— Bets... Bets... Jest u Van Laanów, braterstwa mojej żony w Haadze... Napisaliśmy do niej... Bo i pan wpadł tak nagle, niespodziewanie... Podaj mi fidi-bus, Żanetto... Ale rozpal go dobrze... Bo jeśli za mało się roznieci, to na nic. Pański list dostaliśmy dziś rano...

— Napije pan się z nami filiżankę herbaty, panie Fryderyku? Z pewnością pan już jest po obiedzie?... Czy też może pan wprost z dworca?..

— Z dworca zaszedłem do «Szwaj-

carji» i tam zjadłem. Ale filiżankę herbaty wypiję chętnie... Jak się ma Bets?

— Dobrze, doskonale... Tylko ten smutek, troska, — rozumie pan... Już od trzech tygodni jest u mego szwagra... Ale teraz opowiedz pan nam... Daleka droga z Wildbadu, — co?

— Nie. Nie. — Nie mogę się uspokoić... Jak on doskonale wygląda! Przypatrz się tylko jak utył!... To rzeczywiście zrobiło panu bardzo dobrze... A czy operacja była bardzo przykra, panie Fryderyku?... Czy to bardzo bolało? Dużo pan cierpiał?...

— Ach, nie, proszę pani; to wszystko załatwia się teraz bardzo spokojnie i łagodnie. Kiedy się potem przyjdzie do siebie, to ma się uczucie wielkiego wyczerpania i znużenia, czuje się bardzo marnie, jest się bardzo osłabionym, ale wtedy wszystko już minęło, ma się to już po za sobą... długo musiałem leżeć w łóżku po operacji... U mnie rany nie goją się łatwo... Ale karmili mnie znakomicie. Buljon, jaja, najrozmaitsze pokarmy posilne i wzmacniające... W nocy tylko źle było, bo miałem wielką gorączkę...

Ale potem wszystko szło mi jak po maśle... Te dwa miesiące pobytu tam — cudowny to zakątek, prześliczna okolica — zupełnie mnie uleczyły, ale to zupełnie... Bardzo mi przykro, że Bets niema... Wyobrażalem to sobie tak cudnie...

Pani Bool pocieszała go:

— Ależ to najmniejsze. Dzień prędzej czy później... To już wszystko jedno... Tak długo musiał pan mieć cierpliwość...

— A zresztą przedewszystkiem musimy się rozmówić jasno i wyraźnie, panie Nanta.

— Rozmówić?

— Tak... Rozumie pan... Ale przedtem wypije pan filiżankę herbaty... Co?... A potem pogadamy... Strasznie męczą taki atak podagry!... I to już drugi raz w życiu na mnie przyszło.

Lekkie zafrasowanie i przygnębienie owładnęło rozmawiających.

Pani Bool gospodarzyła przy stoliku, przygotowując herbatę i traciła dużo czasu na nalanie jej do filiżanki, ocukrzenie i podanie mleka. Pan Bool szukał swej chustki do nosa i nie mógł jej znaleźć ani w jednej ani w drugiej kieszeni, ani

na oknie, obok którego siedział, ani też na krześle.

Fryderyk, śledząc każdy ruch jego, zapytał zdziwiony:

— Czy mamy jeszcze cokolwiek do omówienia?

— Tak. Musimy się przedewszystkiem jeszcze rozmówić, jasno i otwarcie, panie Nanta... Rozumie pan przecież... ale z tem niema co się śpieszyć. ...Niech pan przedtem wypije herbatę... Jak panu smakuje cygaro?... Kupiłem je u Hageny... Hagen ma rzeczywiście doskonale cygara... Zupełnie pan teraz inaczej wygląda, zupełnie inny ma pan wyraz oczu... Różnica jak między dniem i nocą. Prawda Żanetto?... Ale gdzie moja chustka?... Gdzieście znowu podziali moją chustkę?...

— Z pewnością masz ją w kieszeni od szlafroka...

— Szukałem już tam i niema. Gdybym nie był szukał w kieszeni i znalazł, to bym się nie pytał... Z pewnością Jo schowała gdzieś...

— Ależ leży koło ciebie, stary gderaczku...

— Tak?... Daj mi także filiżankę her-

baty... Wiem z pewnością, że nie położyłem tu mojej chustki... Nigdy jej tam nie kładę.

— I cóż z tego? Masz ją teraz przecież.

— O to teraz nie chodzi. Ta dziewczyna wszędzie musi wetknąć swoje ręce... to straszne, panie Nanta, jeśli się musi siedzieć tak nieruchomo... To strasznie dokuczliwy...

— Czy pan już długo tak siedzi?

— Już dwa tygodnie... Salicyl i znowu salicyl... okropne szkaradzieństwo,— przełknąć go nie można... okropne szkaradzieństwo... Ale toby można jeszcze znieść... tylko ten szum w uszach... Ale pan teraz już zdrów zupełnie? ...Żanetto, herbata niema najmniejszego smaku!... Co to za paskudztwo? Pić tego nie można!... Dolewacie wiecznie wody i wody...

— Ależ dzień w dzień taką samą pijesz.

— Gdybym dzień w dzień dostawał taką samą, tobym ani słowa nie powiedział... Jak panu smakuje ta herbata, panie Nanta?... Garbnik rozpuszczony w wodzie... Prawda?... Nie trzeba jej dać

przeciagnąć, powtarzałem to dzień w dzień...

— Ale ty jesteś dziś okropnie dokuczliwy, Hermanie...

— Co? Co? Ja jestem dokuczliwy? To wyście dokuczliwi! — Czy już ani słowa nie można powiedzieć?... Herbatę trzeba zalewać ukropem, ale nie trzeba jej dać przeciagnąć i zagotować się w czajniku... Powinniście raz napić się herbaty w «Café Americain.» To zupełnie co innego, — inny smak...

Pani Bool odpowiedziała spokojnie, łagodnie i cierpliwie:

— Tam jej z pewnością także inaczej nie robią. Nie myśl, że oni dla każdego gościa zasypują świeżej herbaty. Nie smakuje ci? W takim razie zadzwonię i każę Jo...

— Nie, nie! Daj już temu spokój! Nie rób tyle hałasu dla takiej bagatelki... A jak się ma pańska siostra, panie Nanta?

— Nie widziałem jej jeszcze wcale.

— Ach prawda.

Pani Bool raz jeszcze powtórzyła, patrząc na niego przyjaźnie i dobrze.

— Doskonale pan wygląda.

Znowu zaciężyło nad nim niemile milczenie.

Pan Bool chustką ścierał krople herbaty z swego szlafroka. Głowę miał siwą, siwe włosy i siwe bokobrody. Okulary w złotej oprawie przecinały tłustą, czerwona twarz.

Pani Bool miała oczy łagodne i dobre, te same rysy co Bets, tylko postarzałe, te same dołki w pełnych policzkach. Siedziała spokojnie, trzymając ręce założone, uradowana i zdziwiona doskonałym, zdrowym wyglądem Fryderyka, ale trochę zmieszana i zalekniona milczeniem swego męża.

Pan Bool zdjął okulary i trzymając je w lewej ręce, wycierał szkła chustką trzymaną w prawej. Jego czerwone policzki układały się w fałdy nie zapowiadające nic dobrego, a zmrużone oczy krótkowidza nieruchomo wpatrywały się w trzymane w rękę okulary. Nie mówił ani słowa. Wąskie wargi złożył w małe, słodziutkie usteczka; palce pracowały gorliwie około szkieł.

Pani Bool, zmieszana tem udaniem milczeniem, spytała:

— Czy wielka jest różnica między klimatem tamtejszym a tutejszym?

Aby cokolwiek powiedzieć, Fryderyk odrzekł:

— Ach nie! Tak źle nie jest.

Wreszcie pan Bool przyszedł do porządku z samym sobą i rzekł:

— Wogóle mieliśmy tu paskudną aurę. Szkaradną... śnieg i mróz.... Czy w Wildbadzie także śnieg padał?

— Nie. W Wildbadzie śnieg nie padał.

— No, ale tu było bardzo brzydko. Prawda, Żanetto?

— Tak. Brzydko tu było... A przytem te chłopaki, rzucające na siebie kulami ze śniegu...

— Jeden z tych łotrów rzucił kulę w której był kamień... trafił właśnie tu w okno, i kula upadła tuż obok mojej chorej nogi...

— Wyobraź pan sobie, panie Fryderyku, mąż chciał wybiec na ulicę...

— Tak, chociaż byłem bardzo chory, chciałem wybiec na ulicę ..

— Ale to nie miałyby chyba najmniejszego sensu.

— Tak. To słuszna uwaga; zupełnie słuszna... Ale jeśli człowiek wpadnie w gniew, to wtedy nie zastanawia się nad niczem. Prawda?

— Tak. To prawda.

— A przytem to był dorosły, ośmnaścieletni chłopak i rzucał kulą z śniegu w dziewczynę, w naszą Jo... Czy takiego łotra nie należałoby skarcić?

— Tak. Rozumie się.

— Ale nie mogłem zejść ze schodów... Czy pan wie, co to podagra?

— Nie... Ale mniej więcej mogę sobie wyobrazić.

— Co to za łotry, łobuzy!...

— Trafił przedtem Jo w czoło i nabili jej ogromnego sińca. A gdyby tak był trafił trochę niżej? W oko naprzykład? Mógł być ją unieszczęśliwić na całe życie. Prawda?

— Tak. Kule ze śniegu mogą być niebezpieczne.

— Kiedy byłem młody, także rzucono kulami ze śniegu, ale zawsze przyzwoicie.

Pani Bool potwierdziła:

— Tak, tak.

Fryderyk czuł, że na wszystkich cięży wielkie, krępujące zażenowanie; słowa padały bezdźwięcznie, jak osłona rzeczy nie dojrzałych jeszcze do ujęcia ich w zdania. Ale nagle odsunął krzesło nieco w tył, tamci oboje zrozumieli, że to znak, aby rozpocząć rozmowę poważną.

Opanowując wzmagającą się w nim gorycz, zapytał:

— I nad czem to jeszcze mamy się zastanowić?

— Tak, Hermanie,—nad czemże jeszcze trzeba się zastanowić?

Pan Bool, kiwając pantoflem na związającej nodze, przemówił:

— Tak... Teraz musimy się rozmówić jasno i wyraźnie...

W chwili, gdy rozpoczęła się poważna dyskusja, ujmował zdania w solidny książkowy styl i prawil dalej:

— Zapewne pan zgodził się na treść listu, który napisałem do pana wtedy, przed czterema miesiącami...

— Dajmy temu spokój. Nie mówmy o tem wcale, panie Bool... Zdaje mi się,

że to mogłoby być przykrem dla nas wszystkich...

— Tak. Zgadzam się na to zupełnie... Ale nie może pan mi brać tego za złe... Kiedyś, później, byłby mi pan za to wdzięczny... Mam nadzieję, że pan uznał zupełną słusność przyczyn, dla których wtedy uznałem za stosowne zerwać zaręczyny i zwrócić panu słowo... Chory człowiek... Prawda?

— Tak. Ależ tak. Ale teraz to wszystko minęło...

— Tak. Rozumie się. Ale jeśli pan wtedy mnie nie zrozumiał i tłómaczył sobie to inaczej, niż myślałem...

— Wistocie, panie Bool, nie mogę powiedzieć, żebym to uważał za bardzo piękny czyn... Ale...

— Widzi pan, widzi pan, — otóż w tem właśnie tkwi wszystko... myślałem to sobie... Panu się to nie podobało. Ale niech pan sobie wyobrazi moje położenie. Lekarz powiedział...

— Po cóż mamy jeszcze dużo o tem mówić, panie Bool? Wszystko to już minęło. Prawda, proszę pani? Wszystko minęło... Więc dajmy na to, że zarę-

czyłem się z pańską córką dopiero dzisiaj... i zapomnijmy o tej całej niemilej historii...

— Tak. Tak. Ale pan mi nie da przyjąć do słowa. Przecież teraz mówimy o tem z sobą. Prawda? A skoro już raz zaczęliśmy mówić, trzeba wypowiedzieć wszystko jasno, wyraźnie i otwarcie. Tak będzie najlepiej. W tym celu przecież zaczęliśmy rozmowę. Bo w przeciwnym razie cała ta rozmowa nie miałaby celu i byłaby zupełnie niepotrzebna. Prawda?

Pani Bool wtrąciła przyjaźnie i dobroliwie:

— Tak. To prawda. Jeśli wszystko wypowie się szczerze i otwarcie, to znacznie większa część żalu, który pan ma do mego męża.

— Żalu? Ja nie mam wcale żalu, proszę pani.

Ale pan Bool, wracając uparcie do przedmiotu, prawil dalej:

— Lekarz powiedział—a on jest przecież dla nas powagą, prawda?—czyż można zresztą mieć bardziej decydujący i poważniejszy wyrok, niż słowo lekarza? —

A czy doktor Bruin nie jest powagą, dzielnym lekarzem? Co? Tak, czy nie? Prawda, że tak?—Otóż lekarz powiedział, że pan się nie wydobędzie z tej całej historii, chyba poddawszy się operacji, i to niebezpiecznej operacji, — która zresztą jednak nie może dać żadnej pewności na przyszłość.—Czy doktor tak się wyraził, czy też nie; powiedz Żanetto?—operacja, która jednak nie może dać żadnej gwarancji co do przyszłości, ani zareczyć za zupełne wyzdrowienie... I jakże ja miałem postąpić wobec tego, jako ojciec? Tylko niech pan nie patrzy na tę kwestję jednostronnie, panie Nanta,—li tylko ze swego punktu widzenia. Niech pan sądzi bezstronnie i sprawiedliwie, niech pan się zdobędzie na to, co ja nazywam sądem bezstronnym i sprawiedliwym. Niech się pan nie powoduje uczuciem, ale niech pan się powoduje rozumem. Niech pan sądzi obiektywnie, — rozumie pan?

— Rozumiem. Rozumiem.

— I jakże ja, ojciec, miałem postąpić wobec tego?... To był rzeczywiście temat do dramatu. Prawda? Ręczę panu, że

musiałem przejść rzeczywistą walkę wewnętrzną, walkę, z którejby jakikolwiek autor, literat, mógł być «coś» zrobić. Z jednej strony miałem tu, przy sobie, u boku, moją córkę lamentującą, płaczącą, w rozpacz, — z drugiej strony miałem moją żonę, która miała dla pana zupełnie takie same, szczere, serdeczne współczucie, jak ja sam. Powiedz tylko, Zannetto, co się wtedy we mnie działo? Co się wtedy ze mną działo? A wtedy, gdy pan wyjechał! Co się wtedy działo w tym domu! Zupełnie tak samo było, jak by tu, u nas, ktoś zmarł i leżał jako trup. Tak, tak. Fatalne to były dni! Ale *pour revenir à nos moutons*: z jednej strony moja córka, z drugiej strony moja żona, o samym sobie w tej chwili zupełnie zapomnę i nie będę mówić ani słowa — a z trzeciej strony pańskie listy... Piękne listy pan wtedy pisywał do nas! Słowo daję, rzeczywiście piękne. Moja żona mi je czytała, bo Bets nie była w stanie czytać ich głośno, tak się zawsze zanosila od płaczu. Ślicznie napisane, ślicznym stylem. Nawet nie miałem pojęcia, że pan potrafi takie piękne listy pisać.

Ale przytem wszystkim może pan sobie chyba wyobrazić, że ja wtedy miałem prawo myśleć o panu, jako o człowieku, który już jest nie do uleczenia. Bruin bardzo pesymistycznie patrzył na to wszystko. Jakże ja miałem dopuścić, żeby moja córka całą swą przyszłość, swe młode lata — widzi pan, musi pan wejść w moje położenie i osądzić sytuację jak ojciec, trzeźwo, osądzić rozumem, a nie uczuciem, — otóż jakże ja miałem dopuścić, żeby moja córka najlepsze lata swej młodości przeżyła, — właściwie «przeżyła» to nie jest odpowiednie słowo w tem położeniu, ale pan zrozumie, co ja mam na myśli — jakże ja miałem pozwolić, aby moja córka najpiękniejszy swój wiek przeżyła z człowiekiem, który może konać powolnie, rok, dwa, trzy lata, któremu właściwie nie wolno się żenić, który pozostawi ją wkrótce wdową. Sądziłem wtedy, że pan może sam, tylko proszę mnie dobrze zrozumieć i nie widzieć w tem zarzutu, żadnego, najmniejszego zarzutu — że pan może sam zwrócić mojej córce słowo...

— Ależ, mój Boże, panie Bool, pan przecież musi...

— Ale niechże pan mi najpierw pozwoli wypowiedzieć wszystko, co mam do powiedzenia. Potem pan przyjdzie do głosu. Po to przecież tu siedzimy, żeby wszystko wypowiedzieć jasno i szczerze. Gdyby Bets była w domu, nie mielibyśmy sposobności po temu. — Otóż, tego pan nie uczynił, słowa nie zwrócił. W dalszym ciągu pisał pan listy pełne wielkiej miłości—piękne listy—rzeczywiście bardzo piękne. Wtedy pomyślałem sobie, tak dłużej być nie może. Kiedy nikt niema rozumu, to ja go muszę mieć. I potem spróbowałem wybać Bets. Jakież to sceny wtedy się działy! Co za straszne, okropne sceny! Prawda Żanetto? Dziewczyna rozchorowała się prawie. Bruin musiał jej lekarstwo na to zapisać. Chciała się utopić, życie sobie odebrać. A teraz pytam się pana, czy to rzeczywiście nie była sytuacja dla któregoś autora, literata? I wtedy postanowiłem napisać do pana. Cztery razy zmieniałem i poprawiałem list. Prawda Żanetto? Cztery razy. Ostatnim razem

już marka była przyklejona. Prawda Żanetto? A pan mi na to odpowiedział listem bardzo niegrzecznym, w którym były wyrażenia,... wyrażenia... no... *en-fin*, o tem nie chcę teraz mówić. Pan wtedy był rozdrażniony, chory, bo w przeciwnym razie nigdy w świecie nie byłbym pana więcej przyjął w moim domu. Ale jeśli pan pomyśli spokojnie o tem wszystkim, to będzie pan musiał mi przyznać, że musiałem tak postąpić. A teraz musi pan mi zostawić chwilę zupełnego spokoju. Jest mi bardzo niedobrze wskutek tego nieustannego szumu w uszach...

— Czy może podać ci szklanekę wody?

— Nie, nie... tylko chwilę spokoju... to ten przeklęty salicyl... zarzucę zupełnie to paskudstwo... rozchoruję się jeszcze z tego.

— Możesz za wiele i za szybko mówić.

— Nie—nie.

Przez chwilę nic więcej nie było widać z jego twarzy, jak tylko porośniętymi włosami podgardle, wygoloną brodę między obydwojma srebrnowłosemi bokobrodami;

koniuszek nosa, obydwie dziurki w nosie i brzegi powiek.

— Tak... — a teraz na pana kolej, panie Nanta.

— Za wyrażenia, użyte wówczas, o których pan wspomniał, przeprosiłem pana dziś rano, — to znaczy w liście, który pan dziś rano otrzymał. Byłem wtedy wściekły. Musi pan przecież wejść także i w moje położenie...

— Rozumie się. Rozumie się. To też powiedziałem to wówczas mojej żonie. Pan wszystko mierzył uczuciem.. Ale powodując się tylko uczuciem, nie wolno sądzić. Czy ojciec dbał o dobro swej córki jest egoistą?... A tak pan przecież wtedy pisał... *Enfin*, nie mówmy już o tem więcej. Podajmy sobie ręce... do brze?

— I owszem, panie Bool, jaknajchętniej.

Pani Bool uradowana, z poczuciem ulgi rzekła szybko:

— Tak, to lubię, to lubię. Wogóle cała ta historia była bardzo niemiła.

Pan Bool, uspokoiwszy się, zaczął znowu:

— W każdym razie Bets nie czytała pańskiego listu do mnie. Nie dałem go jej. Prawda, że to było rozumne z mojej strony? Powiedziałem jej tylko krótko i wężłowato: Bets, cała ta historia się skończyła i ty musisz się z tem pogodzić. Żadnych awantur! Pamiętaj tylko o tem: żadnych awantur! — Bets wdała się we mnie, jest strasznie uparta. Postanowiła ani krokiem nie ruszyć się z domu i dotrzymała tego; prawda Żanetto? Wy-myślaliśmy najrozmaitsze sposoby i sposobiki wyciągnięcia jej z domu. Nic nie skutkowało. — Często mówiła: «Papo, niech mi papa da spokój. Papo, ani krokiem się nie ruszę. Papo, ja całe życie będę rozpaczać za nim i nie pocieszę się nigdy. — Tak, tak. Ani na jotę nie ustąpiła i taka była przez cały czas. W Bets ma pan skarb ogromny. Bets, to kobieta, której warto poświęcić całe życie, bo i ona swoje życie poświęci. Czy pan wierzy, żeśmy ją musieli zmusić, by wyjechała do Van Laanów? Absolutnie nie chciała się ruszyć, ani sposób namówić ją na to. Chciałem koniecznie wyprowadzić ją z domu, bo rozpaczała okropnie.

Takie sine kręgi miała pod oczami.—Ale w ostatnich czasach zaczęły już przychodzić od niej weselsze listy. Raz nawet była...

— Na koncercie — dokończyła pani Bool.

— Tak. Na koncercie. W ostatnim liście pisze jeszcze, że była na przedstawieniu jakiejś francuzkiej trupy; grali «Romea i Julję.» To nas bardzo ucieszyło. Baliśmy się, że z wyczerpania dostanie suchot. No, Bets będzie żoną, z której będziesz mógł być dumny...

Pani Bool bardzo uradowana, że dyskusja w tak przykrej sprawie się skończyła, zapytała z przyjazną dobrotliwością:

— Ale dlaczego pan przez cały czas ani słówka do nas nie napisał?

— Dlaczego?... W początkach byłem rzeczywiście zanadto chory, nawet bardzo chory. Nie mogłem pisać.—A zresztą list męża pani sprawił mi taką przykrość, taki ból...

— Ból!... Przykrość!... Rozumie się, że panu nie mógł sprawić przyjemności, ale mając trochę zdrowego rozsądku...

W każdym razie nie był to list tak bardzo przykry...

— Nie spodziewałem się go. I choć mi pan pisał, że jeśli powrócę do zdrowia, to stosunek mój do Bets zostanie znowu nawiązany,—mnie się wtedy zdawało, że już wszystko skończone.—Ach, jakież to był czas okropny! Gdy się pomyśli, że wszystko, wszystko... Ale Bogu dzięki, to już skończone. Szkoda tylko, że Bets niema. Bardzo mi to przykro.

— Może pan się jeszcze napije filiżankę herbaty, panie Fryderyku?

— Proszę.

Pan Bool znowu zdjął okulary i wycierał je, wytrzeszczając swe oczy krótkowidza. Zapytał wreszcie Fryderyka, mieszejącego zwolna herbatę w filiżance:

— A więc pan teraz znowu chce wrócić w dawny stosunek do Bets? Chce pan wznowić zaręczyny?

Fryderyk zdziwiony odpowiedział ironicznie:

— Jakże pan jeszcze może stawiać podobne pytanie!

Czuł się znów swojsko i dobrze w tym

domu, jak gdyby nigdy się z nim nie był rozstał, w tym pokoju ze staremi, zwisającymi u okien portjerami, z kosztami kwiatów i podobnym do skóry pantery dywanem. Wszystko to otaczało go poufale i miło, tak samo, jak przed czterema miesiącami. Nie. Nic się nie zmieniło. Nic się nie stało. Ten sam stolik z wetkniętem pod jedną nogą złożonym we czworo kawałkiem brunatnego papieru, aby się nie chwiało. Te same cienie, padające wzdłuż pokoju. Całe to stare nieruchome życie przedmiotów, które go zawsze otaczało swym równym spokojem, budziło w nim poczucie stałej, spokojnej szczęśliwości. Obrazy tam na ścianie, kałamarz Betsy to i owo zśród drobiazgow. Łagodne połączenie linii i kształtów, przechodzących jedne w drugie, nie wiążących się z żadnymi szczególnymi wspomnieniami, życie mebli, wypełniających pokój, złączone z życiem własnem jednostki. I tak samo jak w tej chwili popijając herbatę, tak samo siedział on tu już nieraz i czuł wewnętrzne, błogie, ciche zadowolenie, że to samo, co przeżywa w tej chwili,

przeżył już nieraz, nieraz siedział w tej samej pozycji, mając fotel po lewej, a po prawej stolik z wetkniętym pod jedną nogę kawałkiem brunatnego papieru.

Usłyszawszy pytanie męża, pani Bool stawiając trzymaną przy ustach filiżankę herbaty, zawołała.

— A to co znowu, Hermanie? Cóż to za pytanie?

Pan Bool odpowiedział, ostro podkreślając słowa i zwracając szczególną, wyteżoną uwagę na swe okulary:

— No, to pytanie nie jest tak bardzo szalone. Pytając się, czy pan Fryderyk pragnie powrotu do dawnego stosunku, tem samem pytam, czy jest pewny absolutnie, że jest już zupełnie zdrow i uleczony. Czy pan mnie zrozumiał, panie Nanta?

— Doskonale! Doskonale pana zrozumiałem. Ale czy panu nie pisałem w ostatnim liście, tym, który pan dziś otrzymał, że niemiec lekarz w Wilabardzie oświadczył mi, że jestem zupełnie, ale to zupełnie zdrow, i że mogę się każdej chwili ożenić?—Czy pan może jeszcze żąda świadectwa na piśmie?

— Dlaczego pan się zaraz tak irytuje? Pytam się tylko. A przecież mi wolno się pytać...

— Ale są pytania, które brzmią—jakby to powiedzieć—trochę nieufnie. Powtarzam panu, jako człowiek honoru, że jestem wyleczony i zdrow, jak ryba w wodzie.

— Ach tak! Widzisz Hermanie! A co?

— Ani chwili w to nie wątpię. Pan mnie zupełnie fałszywie rozumiał. Gdybym miał jakiegokolwiek wątpliwości, to bym się zwrócił do naszego lekarza, a Bruin nie odmówiłby mi odpowiedzi. Skądże panu to mogło przyjść na myśl? Wogóle nie wątpię wcale, a gdybym nawet wątpił, to pańskie zapewnienie wystarczyłoby mi zupełnie. A więc tem samem wszystko jest w porządku. A kiedy tak, to skończmy już ze wszystkim odrazu. Zaręczeni jesteście już od półtora roku. Trzeba teraz oznaczyć zaraz dzień ślubu. Jak myślisz, Żanetto?

Pani Bool, potakiwała głową.

— Tak, masz zupełną słuszość—odrzekła.—Tak będzie najlepiej. Nikt z nas nie będzie miał nic przeciwko temu.

— Możeby więc w przyszłym miesiącu?

— W marcu. I owszem. Ja zgadzam się na wszystko. Finansowych kwestji niema, Bogu dzięki, żadnych.

— Dobrze. A więc w takim razie jutro pan pogada jeszcze w tej kwestji z Bets i gdy omówicie wszystko, będzie czas poczynić potrzebne kroki.

Pani Bool zauważyła.

— Już w przyszłym miesiącu? Czy to nie za wcześnie? A wyprawa?... i..

— Siedem tygodni... Siedem tygodni... Tylko ty teraz nie zaczynaj znowu nudzić, Żanetto!... Nie czuję się na siłach, aby się kłócić i spierać... Jestem zanadto cierpiący... Ale jak mi się zdaje, ty zupełnie zapomniałaś o moim proszku... Już przeszło kwadrans minął, jak powinienem był go zażyć...

— Masz go tu, staruszk.

— A moje mleko... Wiesz przecież dobrze...

— Nie zapomniałam i o tem... Ale przecież nie mam sześciu rąk.

— Czy to znowu gotowane mleko?

— Niema innego.

— I tu nie ma się stracić cierpliwości! I tu nie ma się człowiek irytować... Powiedz pan tylko, panie Nanta... Właśnie takie drobiazgi irytują mnie najbardziej... Ileż razy ci już mówiłem, Żanetto, że ja nie cierpię gotowanego mleka, nie znośzę, nie mogę pić...

— Ależ stary nudziarzu, inaczej nie mogę...

— Rozumie się; ty zawsze chcesz mieć rację.

— Nie. Tego ja wcale nie chcę; wcale nie.

— Ależ w takim razie dajże mi spokój z tem gderaniem. I to z powodu takiego głupstwa... Nigdy nie możesz przestać...

— Mój Hermanie, jakże ty możesz...

— Widzi pan, widzi pan, wszystkie kobiety są jednakowe... Ależ dajże mi, daj to twoje przegotowane mleko... Czy pan mi wierzy, panie Nanta, że właśnie w tej chwili taki mam szum w uszach, jakby tu gdzieś, tuż przy mnie pracowała jakaś olbrzymia maszyna parowa... Za-gra pan ze mną partyjkę szachów?

— Jeżeli mogę tem panu zrobić przyjemność..

— Ale da mi pan *vor*, — wieże?... Bo pan o wiele lepiej gra ode mnie..

— A może pan by się napił dobrego, gorącego grogu, panie Fryderyku?

— Nie, dziękuję pani. Wolę się jeszcze teraz wstrzymać od wszystkich gorących napojów.

— Ach, to nonsens. Może pan spokojnie napić się szklaneczkę grogu, panie Nanta. To panu nie zaszkodzi. Na dworze zimno... Zima przecież.

— Nie, nie. Dziękuję. Muszę jeszcze uważać na siebie. Wolę się wstrzymać od wszelkich spirytualjów.

— No, jak pan chce. Gdzie jest szachownica, Żanetto? Słyszysz przecież, że chcemy zagrać partję szachów. A daj mi także szklanę wody.

II.

— Hej! Fryderyku! Dokąd tak szybko?

— Co? To ty? Co słyhać? Jak się masz? Szczęśliwy przypadek, że właśnie cię spotykam.

— Aleś utył!

— Prawda? Dobrze mnie karmili. Utuczylem się.

— Ale gdzieś ty się ukrywał? Czyś się już ożenił?

— Mniej więcej za sześć tygodni mój ślub.

— Gdzieżeś był? Strasznie dawno cię nie widziałem. Od dnia zaręczyn stałeś się niewidzialny. Kryjesz się ze swem szczęściem.

— Nie. Byłem chory.

— Co? Ale teraz już dobrze?

— Całkiem dobrze. Jestem zdrow jak ryba! Dokąd idziesz?

— Właściwie chciałem iść do domu. Ale teraz... Wstąpisz gdziekolwiek z nami?

— Nie. Lepiej nie.

— Co to, to nie. Będziesz miał jeszcze dosyć czasu stać się porządnym człowiekiem. Chodź teraz. Wstąpimy do knajpki. Strasznie dawnośmy się nie widzieli. Możebyśmy zaszli do baru? Tak, do baru! Stamtąd przynajmniej nie wyrzucają o pierwszej godzinie. Wracasz od narzeczonej?

— Nie. Od moich przyszłych teściów.

Moja narzeczona jest w Haadze. Ja dziś wróciłem z Niemiec.

— Z Niemiec? Czyś jeździł tylko dla przyjemności?

— O nie. Źle było ze mną. Musiałem tam jechać.

— Leczyłeś się w Niemczech?

— Tak jest. Cztery miesiące tam przesiedziałem.

— Co też ty mówisz? A ja myślałem, że ta cała twoja choroba to była tylko jakaś drobnostka. I cóż ci było?

— Miałem mięsak.

— Co to za djabeł?

— No, mięsak.

— Ale co to jest mięsak?

— Nowotwór w piersi.

— Tak? A to ładna historja!... Czy ci robiono operację?

— I jaką jeszcze! Tutaj żaden doktor nie chciał się odważyć na taką operację. Ale w Heidelbergu załatwiają się z takimi historjami spokojnie i bez wielkich ceregieli... A potem pojechałem do Wildbadu, aby przyjść do siebie... Straszna to była historja. Ale teraz wszystko

już minęło bez śladu. Chciałoby mi się tańczyć z radości!

— A więc tańcz!—Ale ja o tem wszystkim nic a nic nie wiedziałem. Nic a nic. Nieraz mówiliśmy o tobie i jeden drugiego pytał, co się z tobą dzieje. Nikt nic nie wiedział. Kröder twierdził, żeś wyjechał do Indji. — Ale to ciekawa historia... Szczęście, że się tak skończyło. Łatwo mogłeś się przejechać na tamten świat. Nikt nie wiedział, żeś chory. I jak to się nazywa ten djabeł?

— Mięsak.

— Nigdy nie słyszałem o czemś podobnem. Nigdy. I jak takie zwierzę wygląda?

— Bardzo zwyczajne. Najprostsze w świecie obrzmienie.

— Chciałbym, żeby mi taki mięsak zrobił się w portmonetce.

— Tyś się nic a nic nie zmienił. Zawsze te same dowcipy masz na zawołanie.

— A twoja narzeczona odwiedzała cię często? — Śliczna dziewczyna — nadzwyczajnie miła dziewczyna.

— Moja narzeczona... nie... ona tu

musiała zostać.. sama jedna nie mogła przecież wyjechać ze mną... Rozumiesz to przecież... Wszakże to ogromnie daleko!

— Rozumie się. Rozumie się. Nie bierz mi za złe tego głupiego pytania. — Ale nikt nic o tem nie wiedział. — A jak się ma twoja narzeczona?

— Bardzo dobrze.

— Jaką masę pieniędzy wyście musieli wydać na marki. Co? O to się nawet nie trzeba pytać. A czy po ślubie wyjedziecie do Indji?

— Tak. Po ślubie.

— Tak. Tak. Ale jakże ja się szalenie cieszę, że cię spotkał.

— Byłem właśnie po raz pierwszy u moich przyszyłych teściów. Prosto z dworca zaszedłem do nich.

— I narzeczonej nie zastałeś? To trochę przykry zawód. Prawda?—Ale twoja narzeczona—to śliczna dziewczyna. Doprawdy, nadzwyczajnie miła.—Wiesz co?—wsiądźmy do tramwaju? Dobrze?

Po nużącej partji szachów, Fryderykowi bardzo dobrze zrobił ruch uliczny. Przyszedł na niego spokój cichy i przy-

jemny. Stał oparty plecami o ścianę platformy wagonu tramwajowego. Obok niego stał Jan z swą czerwoną, tłustą twarzą, i mówił bezustannie, a Fryderyk słuchał go pozornie, ale myślami i uczuciem chwilowego zadowolenia, zwrócił się ku domom Utrechckiej ulicy, ku tym dobrze mu znanym, a dawno niewidzianym kształtom.

Oto sklep piekarski, ten sam, tak samo wyglądający i w tem samym miejscu, tuż obok latarni.— Zelhandelaar, — tak jest, piekarz nazywał się Zelhandelaar.— A ci ludzie, tłoczący się na asfaltowym trotuarze, również ci sami, — dawno niewidziani, starzy, kochani znajomi. Ileż to domów, ciągnących się szeregiem w ciemną dal wieczornego mroku, aż po ów pałac, tam, daleko, wznoszący się wysoko w niebo, w białą, jak mleko chmurę, której dotykają skrzydlate figurki na dachu... Ileż to domów, czarnych i białych, — ileż to okien świecących białawo żółtemi i czerwonymi światłkami... Wszystko to wzruszyło go, jakby dawne, ukochane wspomnienia młodości, jak

droga, stara miłość, wielka i niezwalczona.

A potem dla odmiany kawał matowo świecącej, ciemnej wody, ciemny łuk mostu, mnóstwo złościście odbijających się w czarnej wodzie światełek. Kochał się w tych domach, w tej wodzie, w tym asfalcie, w całej tej uroczej piękności Amsterdamu, którą teraz odczuwał na nowo, odczuwał głęboko, silnie, ze wzruszeniem...

Stał spokojnie na platformie wagonu, ale usta jego wyciskały pocałunki na tem wszystkim, co się koło niego przesuwało; pierś jego wznosiła się pełnem radości westchnieniem, w miarę, jak poznawał ulice, kształty domów, sklepy, niezmiennione postacie policjantów po rogach, połamane linje dachów, zakończone zdobnym figurkami dachem pałacu, wznoszącego się w chmury w tęsknym rozmarzeniu. Kochał się sentymentalnie, dziecinnie...

Robiło mu się ciepło; ciepło w pierśsiach, w twarzy. Chciał śpiewać, śpiewać głośno, w takt z mručeniem kół po żelaznych szynach. Ulica była dlań ży-

ciem. Cienie, łuki, linje, kształty, wznawiały się w jego pamięci, jako starzy znajomi, witaly go ciepło i serdecznie.

* * *

W barze siedział Kröder i Fips.

Przywitali go serdecznie.

Musiał opowiadać o swej chorobie i swem wyzdrowieniu, a oni słuchali go z wielkiem zajęciem. Lubili go; lubili go bardzo, ale to wszystko, co im opowiadał, było w ich pojęciu czemś bardzo nieznacznem, bardzo odległym, minionem. Było mu dobrze przy tym stoliku, zastawionym filiżankami kawy. A dla nich opowieść jego była czemś dziwnie kontrastującym z otaczającym ich życiem kawiarnianem. Mała rana na palcu, którąby mogli widzieć, byłaby ich więcej zajęła i więcej zwróciła na siebie uwagi, niż całe to opowiadanie o operacji. Słuchali go uważnie, kiwali głowami, ale wszyscy wiedzieli doskonale, że siedzą w barze, słuchając kawiarnianej historyjki.

A Fryderyk, opowiadając o operacji

w Heidelbergu, o nudach w Wildbadzie, czuł także doskonale, że najboleśniejże chwile owych czasów, momenty najstraszniejszej rozpacz, godziny najgorętszych modłów, stawały się tu czemś bezbarwnem, — że ci ludzie nic z tego pojąć nie zdołają, bo ten sam czas, który on przeżył samotnie, oni przeżyli w gorączkowym, nieustannym ruchu. Tak, to było rzeczywiście szalone. Pięć miesięcy minęło, i ani wspomnienia nie zostało. Jakże szalonym uczuciem jest rozpacz, skoro przeminawszy, nie znajdzie gorącego oddźwięku u przyjaciół w barze.

Kröder trochę się zmienił. Zapuścił brodę. Ale Fips nie zmienił się wcale, zawsze ta sama czerwona twarz i ten sam błyszczący cylinder. Utrechcka ulica dała Fryderykowi chwilę wzruszenia i szczęścia. Ci dwaj przyjaciele, — przyjaciele — nie dali mu ani momentu wzruszenia, byli mu zupełnie obojętni ze swym kawiarnianym nastrojem.

Ale Kröder, wypiwszy trochę zawiele, wpadł w ton przyjaciełsko sentymentalny:

— Mój Boże! Tyś przeszedł wiele złego,

mój stary! Wiesz, twoje wyzdrowienie trzeba uczcić... Wypijmy flaszczykę!

— Nie. Mnie jeszcze nie wolno pić.

— Ach, nie gadaj głupstw. Tylko głowa do góry. Nam to wściekle przyjemnie, że mamy cię znowu tutaj. — Kelner! cztery *whisky* i wody sodowej!

Fryderyk zapytał:

— A co tutaj, u was, stało się nowego?

— Nowego? Czy stało się co nowego?

— Nie. Nic. Tu się nic nowego nie dzieje.

— Nie. I choćbyśmy nawet chętnie chcieli opowiedzieć jaką nowinę, to nic a nic sobie przypomnieć nie możemy.

— Aleś ty pewnie dużo wina wypił w Niemczech?

— Nie wolno mi było. Ale tam koło Heidelbergu są dobre wina.

— Mogłeś nam przysłać parę buteleczek.

— Rzeczywiście.

— Co tam kosztuje flaszka? Tak na przykład Niersteinera?

Rozparci w wygodnych fotelach gawędzili dalej na ten temat. Fips twierdził,

że tylko w Niemczech można napić się dobrego reńskiego wina, a ponad reńskie wino lepszego niema na świecie. Jan przeczył temu i rozpoczęła się dyskusja kłótniwa i ożywiona.

Po winie przyszła kolej na sensacyjne morderstwo w ulicy parkowej.

Fryderyk nie brał udziału w tej rozmowie. Z początku obudziła ona w nim zdziwienie i myśl, że przed dwoma, trzema miesiącami zaledwie żarła go rozpacz straszna, okropna i uderzyło go dziwnie, że teraz to już minęło, a on siedzi tu w kawiarni popijając *whisky* z wodą sodową, podczas gdy wspomnienie szalonego podniecenia, — tak żywe jeszcze, gdy wracał do domu i przejmujące go wówczas smutkiem, żalobą, bolesną powagą, rzucające, jak sądził, cień na jego przyszłe życie—blednie i znika. *Whisky* budziła w nim nieznaną od dawna fantazję i świetny humor. Wydało mu się nagle rozkoszą, że może znowu tu siedzieć, w tej starej knajpie, przy stole razem z grubym Kröderem, czerwonym Issem, miłym gawędziarzem Jasiem, — że znowu może siedzieć z nimi przy kie-

liszku likieru, gawędzić, śmiać się, czuć znowu siłę swego ciała i patrzeć przed siebie w kłębiący się dym cygara...

Jutro obaczy Bets, kochaną, cudną Bets—za siedem tygodni wesele, — ślub, wesele, ślub — posiędzie ją na zawsze i zawsze ją mieć będzie przy sobie, obok siebie, z sobą. Podniecony alkoholem, odurzony już trochę, myślał raz jeszcze o tem wszystkim, kryjąc się za błękitnymi chmurami dymu cygara, nie słuchając dyskusji przyjaciół.

Są chwile w życiu, w których można pochwyć szczęście, ująć je jako coś uchwytnego; chwile szczęścia w których dni i miesiące koncentrują się w jedno, — jedno spotkanie po długim rozstaniu, — wyczekiwana tak długo chwila połączenia na zawsze.—połączenia się na wspólną wędrówkę przez życie — wszystko owiane cudownym, rozkosznym urokiem. Słodkawy dym cygara przechodził przez jego usta. Kłęby dymu toczyły się przed jego okiem, a on miał wizję szczęścia, — uchwytnego, rzewnego, szczęścia równego, szczęścia, które jest czemś subtelnie pięknem, w którym

serce nie bije prawie i które ogarnia duszę, jak sen, z którego się budzić nie chce. Widział przed sobą czarne, wilgotne oczy Bets, jej policzki, jej twarz, uśmiechniętą słodko, jej lekko wygięty nos z drżącymi, przejrzystymi nozdrzami. Widział ją przed sobą. A jej oczy tonęły w jego oczach, wpatrzone nieruchomo i przyszła nań chwila wielkiego, nietykalnego szczęścia, chwila, w której śmierć wydaje się rozkoszą, wzniesieniem ponad wszystko, co jest bólem i radością. Jasność wielka w nim powstała i chciał pochwyć tę chwilę i przedłużyć ją.

A potem poczuł ogromną, szaloną wesołość, przenikającą go na wskroś i obudzało się w nim pragnienie podzielenia się tą wesołością z tymi, co wokół niego siedzieli, wciągnięcia ich w ten sam nastrój, w tę samą rozkosz, która go upajała. Nagle wyprostował się pełny życia i siły i z szaloną wesołością zawołał:

— Napijmy się! — Kelner! Szampana!

III.

Obudził go woźny z depeszą.

Depesza od Bets. O czwartej będzie na głównym dworcu. Teraz godzina dziesiąta. Jeszcze dużo czasu. Można się doskonale wyspać. Od pół do czwartej spał do dziesiątej. Pięć i pół godziny. Obrócił się na drugi bok. Zupełnie inaczej śpi się w swem własnym łóżku. Pysznie, rozkosznie. Dobrze tak drzemać, wspominając Krödera, Fipsa... O czem to Fips mówił? — Strasznie jest zaspany. Jak to dobrze leżeć w swem własnym łóżku.—Oho! Na schodach kładą dywan; przybijają go regularnemi, lekkimi uderzeniami młotka. Raz, dwa, trzy i po tem jeszcze jedno lekkie uderzenie...

W pół śnie widział stróża przy tej pracy—klęczy—biały fartuch—śpiczasty, długi młotek,—kilka gwoździaków w wilgotnych ustach.—Raz, dwa, trzy i potem jedno lekkie uderzenie. Dobrze przy tem na nowo zasypiać. Jeszcze sporo czasu. Można spać do dwunastej godziny; Bets przyjeżdża dopiero o czwartej! Czy pójsć

na kawę do Boolów?—O nie! Ona to dobra kobieta. Ale ten nieznośny stary dragon, który zawsze chce mieć słuszność. Nie, nie! Dopóki Bets nie wróci, nie pójdzie tam. Potrafi się czemś wytlómaczyć. Tak. To najlepiej. Cudowne łóżko! Ale co to za szelest?

Ta głupia dziewczyna, ta idjotka nie zakręciła porządnie kranu u wodociągu. Kropla za kroplą pada.—Tik, tik, tik, tik. Nieznośne! Szalenie to działa na nerwy. Możeby wstać i zakręcić? Za nic w świecie. — Tik, tik, tik. — Głowę pod koldre i spać. Wypocząć po nieprzespanej nocy. Niema sensu tracić tak nocy. W Wildbadzie o dziesiątej kładł się do łóżka, a o szóstej wstawał. A tu wręcz przeciwnie.

Gdyby tak Bets była przyjechała o dziesiątej rano. Ale szczęściem przyjeździe o czwartej. Dlaczego o czwartej? Od pięciu miesięcy nie widziała narzeczonego i mimo to dopiero o czwartej przyjeździe? To bardzo brzydko. Może go już nie kocha. Ale musiała przedtem spakować kufry, a to tak prędko nie idzie. Co tam kufry! List jego dostała o ósmej rano. Dlaczego dopiero o czwar-

tej przyjedzie? W tem coś jest. Coś złego.

Rozbudził się zupełnie i patrzył na pokój, na który światło dzienne padało przez jasne rolety. — Tik, tik, tik. — Dlaczego przyjedzie dopiero o czwartej? — Trzeba dobrze obliczyć czas. — List dostała o ósmej rano; do dziewiątej się ubierała, o pół do dziesiątej mogła być gotowa, potem w dorożkę i ekspresem... Nonsens. Żle oblicza. — A gdyby już była przyjechała. Gdyby go nie zbudzono dla depeszy i on spał dalej odurzony likierem i szampanem? Skoro przysłała depeszę, więc musi się śpieszyć. Najlepszy dowód. — Tik, tik, tik. — Przekłety wodociąg... Przeczyta raz jeszcze telegram... Nadany o kwadrans na dziewiątą... Otóż to jest. Wysyłając depeszę miała przyczyny po temu...

«Przyjadę o czwartej, dworzec centralny. Twoja szczęśliwa nad wszystko Bets...»

Skąd w nim taka nieufność! Z niewyspania?... Tik, tik, tik, tik. — Przekłety szmer. Zaczął marzyć o Bets i starał się znów wzbudzić wizję wczorajszego wie-

czoru. Nie udało mu się. Był zanadto zmęczony. Tak był zmęczony, że nie mógł sobie przypomnieć jej twarzy.

Stróż przybijał dywan na schodach, regularnie uderzając młotkiem. Krople wody monotonnie spadały z kranu wodociągu. Zdrzemnął się, ale nagle zbudził się przerażony. Coś go obudziło. Co? Nic. Nikt. Nikt. Nagle zerwał się, wszystkie nerwy w nim zadrgały. Dokładnie odczuł klucie w bliźnie. Dwa bolesne ułtucia. Jak go to przeraziło! Czuł, że ma głowę zimną, jak lód. Ale teraz nic już się nie odzywa w bliźnie. To dzieciństwo przerazić się tak nerwowego drgnienia. Trzeba zasnąć na nowo. To wszystko z niewyspania. Rozumie się.

Boże wielki! Znowu, znowu to samo? Pałace ułtucie w piersi, w tem samym miejscu, w którym ma bliznę po operacji. Ze strasznym przerażeniem w oczach, usiadł na łóżku i wsłuchiwał się w padanie kropli z wodociągu. Co to jest? Czy to imaginacja? Nie, nie, — to rzeczywistość. Te same typowe ułtucia...

Boże wielki! Boże wielki! Był jakby sparaliżowany, niezdolny do żadnego ru-

chu, jakby ujęty w pałacy pancerz straszego przerażenia. Twarz pobladła w lęku szalonym. Uklucia nie powtórzyły się.

Głupstwo! Wszystko to wyobraźnia! Nerwy osłabły i poddają się każdemu wrażeniu. — Tik, tik, tik, tik. — Histeryczna imaginacja! Tylko szybko zasnąć. Głowę pod koldrę. — Głupstwo. — Tik, tik, tik, klap, klap. — Niespokojnie rzucał się pod koldrą. Za gorąco mu było. Wy sunął głowę. Był zupełnie obudzony, nie mógł zamknąć oczu, patrzył na rysunek tapety. — Zupełnie jakby głowa starca mrugającego powiekami. Nie, to kocia głowa, a za nią śniegiem pokryte góry. — Gdyby tak uklucie... Nonsens. Głupstwo!... Wogóle nie myśleć o tem. Wszystko sugestja. Wstrętna tapeta. Tak, to dobrze: szkaradna tapeta, okropnie brzydka. — Walter Crane... tak; to pomoże. — Ale gdyby to klucie... Boże, co za marne, głupie dzieciństwo. Jest zdrów, jak ryba... Jaka brzydka tapeta... Walter Crane, ten przynajmniej — przynajmniej — przynajmniej... Gdyby się jednak powtórzyło?... Tik, tik, tik. — Nie myśleć o tem! — Tik, tik. — Głupia idjotka, nie mogła zakreścić...

trzeba wstać... a także w lustrze przypatrzeć się bliźnie... Moźnaby ... Tik, tik... Walter Crane... Wyobraź sobie, że to klucie w piersi... Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... tak, to dobrze. — Liczyć do stu... siedem, ośm, dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzynaście...

Liczył krople, spadające z wodociągu. Nagle zerwał się, poszedł, zakreślił kran. Wrócił. Stał przed lustrem. Tu za ciemno, nic nie widać. — Wziął lusterko do ręki, podniósł roletę, usiadł w krześle i przypatrywał się bliźnie, dotykając jej palcami. — Czy ten pęcherzyk był zawsze?... Nie. Nie było go... Był z pewnością. — Trzeba go się dotknąć...

Szalone przerażenie chwyciło go za gardło; przycisnąwszy w tem miejscu bliźnię, uczuł ból, jakby go kto szydłem kłuł. Obezwładniony rozpaczą siedział w krześle i próbował myśleć. Czuł, że straszny ciężar zwałił mu się na głowę. Nie był w stanie myśleć. Chciał krzyknąć z bólu... Ale coby to pomogło? Po co krzyczeć? Stało się coś straszego. Co? Boże! Co? Tak. To to samo. Jezus, Jezus! Boże!

Stał przy oknie, przycisnąwszy czoło do zimnej szyby. Jakby ogłuszony odwrócił się, podszedł ku łóżku, położył się, wcisnął głowę w poduszki, zamknął powieki. W ciemności, po za przymkniętymi powiekami przeżył raz jeszcze tę czarną wizję strasznego przerażenia, które go ubezwładniło, zamknęło przed nim świat cały. Teraz wszystko się skończyło, wszystko. To straszne, okropne, przerażające, leżeć tak w łóżku pod kołdrą — i—i—i... I co teraz począć? — Nie. — Ach gdyby to wszystko się skończyło, — to życie w ciemności, ciężkie, zimne, straszne... Gdyby nagle się skończyło, bez cierpienia, bólów, świadomości, — zgasło jak płomyk świecy — tylko nie ta trumna ciasna, drewniana...

Leżał z zamkniętymi oczami, nieruchomy, na poły drzemając, na poły szarpiąc się myślami, powtarzając jedno i to samo słowo: śmierć — śmierć — śmierć — śmierć...

Służąca weszła do drugiego pokoju.

— Proszę pana, czy przygotować kąpiel?

— Przygotować...

Wstał, podszedł do lustra i raz jeszcze przypatrywać się począł bliźnie. Palcami odczuł puchliznę. Tak, jest rzeczywiście!... Rozumie się, trzeba natychmiast iść do doktora kazać się zbadać. Ale przedtem kąpiel...

Siedział, starając się zebrać myśli. Nagle porwała go wściekła złość, zerwał się i bosy latał po pokoju, wymyślając głośno:

— Osio!... Łotr!... Oszust! Podły oszust!... Napiszę mu liścik przyjemny... Pan jesteś łotr, oszust, głupiec... ośmset guldenów wyłudziłeś pan odemnie!... Powiedział: może pan być spokojny i ożenić się... Łotr podły! — A moje młode życie!... I oto Bóg dopuścił!... Bóg! Bóg!... to dopuścił. — I ja mam tak marnie zginąć! — Znowu dać się krajać!... Głupcy, idjoci...

Gdyby go miał pod ręką tego łotra lekarza, co go oszukał, udusiłby go, załabiłby go... A Bets o czwartej przyjedzie... — Przekleństwo!... I ja mam może zerwać z nią? Byłbym chyba szalony! Co oni wiedzą ci lekarze? Te nędzne istoty! — Za miesiąc się ożenię... To mi wszystko

jedno! Zobaczmy! — Ani słowa im nie powiem! — Bets miałbym odstąpić innemu. — Nie! Nigdy! — Choćbym miał umrzeć zaraz, odrazu! — Raz tylko byłem tak głupi! — Drugi raz nie będę!... Boże, Boże, za co mnie tak każesz! — Ale zobaczmy! Nie ustąpię!

Ubiierał się szybko. Kąpiel uspokoiła go trochę. Spojrzył w lustro. Wygląda doskonale, opalony, tęgi. I pocóż tyle hałasu robić dla takiego głupstwa. Inny śmiałyby się z tego. Niema co się rozdrażniać.

Siadł do śniadania. Znow zaczął rozmyślać. Do którego doktora pójść. Do Bruina? Za nic w świecie. Wszystkoby zaraz powiedział Boolowi. Do Kalkera. Ale gdyby Kalker kazał raz jeszcze operacji się poddać... A Bruin powiedział, że druga operacja może być śmiertelna!

Domysły i domysły; nigdzie pewności. Zresztą czy nie może tak samo poddać się operacji będąc żonatym? — Ale na jakiej podstawie daje się opanowywać temu szalonemu niepokojowi?... Swoją drogą, wydawszy ośmset guldenów, można oburzyć się, nie otrzymawszy w zamian ab-

solutnego uspokojenia... Ale nawet zgodziwszy się na to, że druga operacja będzie konieczna... W takim razie są tylko dwie ewentualności: albo operacja da mu ulgę, albo też mu jej nie da. Jeżeli mu będzie lepiej po operacji, to wszystko się ułoży dobrze; Bets będzie go pielęgnować, cudna, dobra Bets, ten anioł idealnie dobry. A gdyby operacja nic mu nie pomogła, w takim razie ...Ale o tem niema co myśleć; operacja musi się udać. A zresztą gdyby nawet... To i cóż? — Więc może nie powinien wcale jechać na dworzec, nie powinien nigdy więcej spotkać się z Bets, i znowu zamknąć się w samotności, w domu zdrowia? Tak!... W takim razie wszystko byłoby skończoną na zawsze. Ten stary egoista nie dałby mu córki i Bets wzięłby kto inny! Nie! Teraz już jej nie puści z rąk! chociażby ją miał posiadać tylko na dwa miesiące, na dwa dni tylko!

Niema nad czem sobie głowy łamać. Naprzód do doktora, a potem będzie dożyć czasu do namysłu... Jakby zdrowie było koniecznym warunkiem zawarcia małżeństwa! Iluż to suchotników i in-

nych nieuleczalnie chorych żeni się, i nikt im tego nie broni! Choćby nawet był już jedną nogą na tamtych świecicach, mimo to miałby prawo się ożenić! — Nazajutrz po ślubie i żona mogłaby zachorować nieuleczalnie! Zresztą czy można wiedzieć co przyszłość przyniesie? — Rozumie się, gdyby to była choroba zaraźliwa, albo dziedziczna! Ale skoro tak nie jest, to nikt nie ma prawa nie dozwolić mu na zawarcie małżeństwa. Czy gdyby Bets była nieuleczalnie chora, on by się z nią nie ożenił? Nawet gdyby była w ostatniem stadjum suchot! — Zresztą nie wiadomo czy stan jego jest rzeczywiście groźny... Niech Bóg broni, by druga operacja miała być potrzebną: ale w każdym razie nie podda się jej przed ślubem, nie chce być samotny, gdy znów przyjdą nań te ciężkie, straszne chwile. Jeśli Bets go kocha, to cierpienia jej i przykrości będą dla niego rozkoszą. — Cudna, ukochana Bets! Porwać ją w ramiona, przytulić do siebie tę dobrą dziecinę, która tyle przeszła, tyle się namartwiła z jego przyczyny. On ją uszczęśliwi, da jej szczęście zupełne i wielkie, ochroni ją od wszelkie-

go zetknięcia z przykrą, złą stroną życia i świata...

W każdym razie trzeba milczeć.

IV.

Około drugiej godziny wracał od doktora przygnębiony i zamknięty w sobie.

Wstąpił do handlu i wypił dwa kieliszki wina. Fips przechodząc, ujrzał go i wpadł na chwilę.

— Tak wcześnie zaczynasz na nowo?

— Tak to czasem przychodzi ni stąd ni z owąd. Budzi się ochota. Napijesz się kieliszek?

— Trochę za wcześnie. Zobaczyłem cię przez okno. Chodź, lepiej przejdziemy się trochę.

— Nie. Nie chcę. Siadaj. — Szkaradnie na dworze. Prawda?

— Okropna pogoda.

— Gdzie ty kupujesz kołnierzyki?

— U Hofnisa.

— U Hofnisa? Tak?... Bardzo ładny fason.

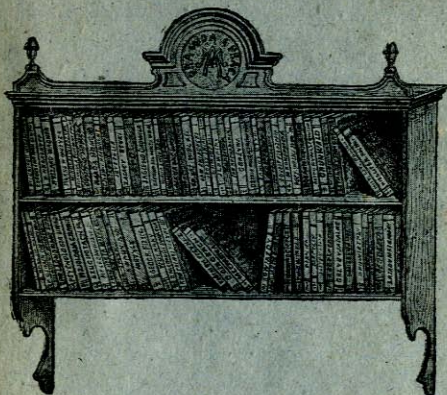
— Czy nie ogolisz brody?

— Zdaje się, że nie.

- Gdy lato nastanie, to zgolisz; będzie ci za gorąco.
- Wątpię. Zdaje mi się, że nie.
- Zobaczysz.
- To bardzo wygodnie zapuścić brodę. Golarz nie dotyka twarzy palcami...
- Trzeba się samemu golić.
- Próbowałem nieraz, ale mi się nie udaje. Zawsze się pokaleczę.
- Ach, to nie tak trudno się nauczyć.
- Kto to przeszedł koło okna?
- Guus.
- Ach prawda; Guus. Dawno go już nie widziałem.
- Nudna figura... okropnie nudna.— widziałeś już swoją narzeczoną?
- Moją narzeczoną?... Nie! — Przyjedzie dopiero o czwartej.
- Więc ślub w marcu?
- Tak. W marcu. Może się napijesz kieliszek?
- Ach, zresztą... Nalej... Jeszczem nie zdążył się zaręczyć... Ale gdybym spotkał kobietę podobną do twojej narzeczonej, to zdecydowałbym się natychmiast... Czy już nająłeś mieszkanie?
- Nie jeszcze.

- A kiedy pojedziecie do Indji?
- W pierwszych latach małżeństwa?
- Ani myślę o tem.
- A więc zdrowie twojej narzeczonej!
- Dziękuję ci.
- Kto ci się kłaniał?
- Oing.
- Ach prawda! — To on jeszcze żyje?
- Żyje. Zrobił się z niego nieznośny filister. Ale ty masz taki dziwny jakiś wyraz w oczach, Fryderyku. Co ci jest?
- Ja mam mieć dziwny wyraz w oczach?
- Bardzo!
- Prawdopodobnie wypilem za dużo wina... Nie znoszę jeszcze dużo... Ale opowiedz mi co nowego...
- Siedzieli tak w oknie winiarni gawędząc o tem i owem. O wpół do czwartej Fryderyk wstał i smutny, przygnębiony, nie patrząc na nikogo i na nic, poszedł na dworzec. Tam już czekała pani Bool spacerując spokojnie po peronie.





PÓLECZKI DĘBOWE

DO „KSIĄŻEK DLA WSZYSTKICH“

o dwóch przedziałach	}	szer. 35 cm.	rb. 2.50
(jak rysunek)		„ 53 „	3. —
o trzech przedziałach	}	„ 35 „	3.50
		„ 53 „	4. —

78027

TOM I. WŁ. M. KOZŁOWSKIEGO
KLASYFIKACJA WIEDZY

TOM II. E. E. FREEMANA
DZIEJE EUROPY

TOM III. M. A. CREIGHTONA
HISTORJA RZYMU

TOM IV. WŁ. M. KOZŁOWSKIEGO
HISTORJA FILOZOFJI

TOM V i VI. P. CHMIEŁOWSKIEGO
**KRYTYCZNO-PORÓWNAWCZY PRZEGLĄD
DZIEJÓW PIŚMIENICTWA POLSKIEGO**

TOM VII. FIFFE'A.
HISTORJA GRECJI

TOM VIII. JEBBA
HISTORJA LITERATURY GRECKIEJ

TOM IX. GIBBINSA
HISTORJA PRZEMYSŁOWA ANGLJI

TOM X. WORSFOLDA
O SĄDZIE W LITERATURZE

Cena każdego tomu 60 kop.